Nr. 43. Warszawa, dnia 14 (26) Października 1895 r. Rok XV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

NOWE OBIETNICE.

Rozruchy w Konstantynopolu przyniosły armeńczykom reformy. Tylko dla ocalenia niezbyt już jaśniejącego honoru Turcyi zapewniał telegraf, iż demonstracya z d. 30 września może popsuć całą sprawę: rzeczywiście — ona ją naprawiła. Przedstawienia mocarstw, iż nie mogłyby obojętnie patrzeć na powtórzenie się takich naganek i mordów, jakich widownią była stolica turecka przez dni kilka, wytłoczyły nareszcie z sułtana wolę zrobienia czegoś, przynajmniej na papierze. Z postawą dyplomacyi współdziałała i obawa sułtańska, aby znowu nie drgnęło życiem stronnictwo młodej Turcyi, uśpione, ale nie zduszone, od czasu niełaski Midhata baszy. Nie zdołałoby ono wprawdzie odrazu zaimponować siłą, ale, raz się ocknąwszy, mogłoby już rozwinąć w sobie energię dla padyszacha arcy-niedogodną. Uległ Abdul Hamid wreszcie ogólnej trwodze niemocy: choćby uległość miała być nawet nieszczęściem, większe od niego sprowadzić mógł dalszy opór.

Skończyło się tedy na tem, że wreszcie sułtan, otrzymawszy d. 13 b. m. wezwanie zbiorowe od ambasadorów trzech mocarstw, w trzy lub cztery dni później wydał z gabinetu swego *irade*, nakazujące wprowadzenie reform. Jak w podobnem położeniu w r. 1879, kiedy traktat berliński i układ z Anglią o Cypr były jeszcze gorące, tak i teraz łaskawem swem obliczem uśmiecha się padyszach nie do samych tylko armeńczyków, ale do wszystkich swoich poddanych. Wszędzie mają zapanować nowe porządki: wszystko, od policyi do sądów, ma być naprawione, postawione na wysokości wymagań dyplomacyi i potrzeb, odczuwanych przez samego sułtana. Kiamil i Said, wezyr i minister od polityki zagranicznej, poszli śladem przez Mahmuda-Nedima, przed laty szesnastu, wydeptanym: wszystko dla wszystkich. Ocala się znowu honor, gdy się coś daje nie samym tylko armeńczykom.

To właśnie jest i dla wszystkich podejrzanem i specyalnie dla armeńczyków niebezpiecznem: mogą nic nie dostać, gdy mają brać ze wszystkimi pospołu. W takiej wielkiej, rozłatującej się machinie, jak dzisiejsze państwo tureckie, przytłaczane przez sułtanat, można jeszcze coś tu i owdzie naprawić, ale niepodobna myśleć o naprawie ogólnej, choćby nawet tak skromnej, tak elementarnej, jak obecna. Dla armeńczyków wprawdzie dyplomacya niezależnie od sułtańskiego irade wymogła szczególne ustępstwa i umyślne organa wykonawcze do przeprowadzenia reform; nie od tego jednak wyodrębnienia z całości, ale od dalszego, na chwilę jedną nieustającego, nadzoru i silnej, stanowczej woli zależeć będzie urzeczywistnienie nowych praw, mających dziś tylko wartość nowych—obiecanek z jednej, marzeń z drugiej strony.

Nie znając jeszcze tekstu tego aktu, którym Abdul Hamid wolę swą objawił — wstrzymujemy się z roztrząsaniem szczegółów. Z depesz i korespondencyj wyprowadzićby można wniosek, że dyplomacya pobudziła sułtana do nadania chrześcianom w całem państwie tureckiem jakby praw osobistych i politycznych. Wszelkie urzędy — z wyjątkiem najwyższych — są dla nich dostępne: z mocy tej łaski przeto mogą armeńczycy przynajmniej być żandarmami i policyantami u siebie, członkami rad starszych i zarządzającymi po *nahjach*, co wszystko jest dla nich nader pożądanem, a może być i pożytecznem, wyzwoli ich bowiem z pod absolutnej przemocy turków i kurdów, dziś wyłącznie sprawujących policyę i zarząd miejscowy. Zapewne i prawo świadczenia przeciwko muzułmanom, nadane już w r. 1880, ale tylko na papierze — znajduje się i teraz w liczbie ustępstw, skoro i prawo uczestniczenia w kolegiach sądowych, choćby tylko niższych, jak donoszą, zostało chrześcianom przyznane. Cokolwiek jednak napłynie w potoku łask sułtańskich, dopiero wtedy istnieć zacznie, kiedy ze sfery myśli przejdzie w sferę zewnętrznej rzeczywistości, a tutaj wszystko w tej chwili jest jeszcze jednym wielkim znakiem zapytania.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Ustępstwa dla Armenii połączył sułtan z reformami w całem państwie. Odpowiednie *irade* wydał d. 16 lub 17 b. m. Rozruchy w Konstantynopolu ustały. W pałacu sułtana wykryto jakoby zbrodnicze jakieś zamysły przeciw osobie sułtańskiej. Jest to może rozmyślnie rozpuszczona pogłoska dla zobydzenia żywiołów postępowych, które są wprawdzie wątło, ale są.

O księciu Borysie słychać, znowu z tego samego, co i poprzednio, źródła, *Frankfurter Ztng*, że ojciec ma go przeprowadzić na wyznanie prawosławne; matka i babka już się nie opierają, widząc w zamierzonem wprowadzeniu syna do kościoła prawosławnego jeden ze środków utrzymania ojca na tronie. Akt ma się spełnić już w niedzielę d. 27 b. m., tak, aby zgromadzone, zbierające się właśnie tego dnia, zastało już fakt spełniony. W kole posłów zjawiły się już interpelacye, dotyczące deputacyi do Petersburga, zmiany wyznania księcia Borysa, ruchów w Macedonii itd. Ów fakt spełniony może przytępić wszystkie te ostrza, a jedno zupełnie zetrze.

D. 22 b. m. wygłosił p. Kazimierz Badeni w obu Izbach Rady państwa swój program polityczny. Ministrowie przedlitawscy nie przyzwyczaili swych słuchaczy izbowych do odwagi i szczerości. Nowy

prezes gabinetu wprowadza nowy prawie zwyczaj—walki w otwartej przyłbicy. Czując się rządem, chce kierować, a nie być kierowanym, i z góry tem wali po głowach. Z żadnem stronnictwem szczególnie wiązać się nie ma zamiaru, żadnego kraju i narodowości na czoło wysuwać; tylko to, co żywioł niemiecki przez wieki sobie zdobył, nie może mu już być odjęte i przejawiać się musi w powadze wytworzonego przez dzieje stanowiska. Każde stronnictwo znajdzie w programie rządu zachętę do współdziałania z nim; większość Izby ma podwoje przed sobą otwarte do stałego zespolenia się. Zasada *Divide et impera* wygnana: prawość i szczerość kierować będą działaniami rządu. Świadomy swych celów i dróg, zarówno szanujący prawa, zaspakajający interesy wszystkich, dbały o całość i w nią wpatrzony — rząd, gdy stawia własny swój program, nie waha się każdemu stronnictwu powiedzieć: *In hoc signo vinces*. Za najbliższe zadanie swoje uważa nowy gabinet przeprowadzenie reformy wyborczej, budżetu na r. 1896 i ugody z Węgrami, kończącej się w r, 1897. Ostrzegając przed manowcami nowoczesnych nieopatrznych dążeń i walcząc z niemi energicznie, nie zaniedba i obowiązku opieki i pomocy dla klas najniższych i uzupełni prawodawstwo socyalne, a w prawie wyborczem powoła do życia rozległe przestworza społeczne. Kraje północne i południowe, ze słabym rozwojem ekonomicznym, będą przedmiotem szczególnej troskliwości rządu jako zwierzchniego gospodarza w dziedzinie materyalnych interesów społeczeństwa. Przekształcenie podatków ma nowy rząd również na oku. Reforma prawa cywilnego i kryminalnego obok innych wzmocni budowę społeczną w duchu nowoczesnym.

P. Badeni zniósł już był d. 18 b. m. stan wyjątkowy od (12 września 1893 r.) w Czechach. Dobre wrażenie sprawił oświadczeniem, że nie uważa tego czynu za jakieś ustępstwo dla Czech.

D. 24 b. m. miała Izba poselska rozpocząć narady nad programem, który mógł jednym podobać się więcej, drugim mniej, ale wszystkich przykuł do siebie swą powagą, widoczną także i w zewnętrznej formie wygłoszenia. Początek dobry: p. Badeni nie chce być ekwilibrystą, ale pracownikiem politycznym; woli oskard do trudu, a trud to będzie ciężki, niż drążek równowagi wśród podskoków, wypowiadający zawsze posłuszeństwo w chwili stanowczej.

Cesarz Wilhelm poświęcił mową patryotyczną dnia 18 b. m. pomnik ojca swego w Wörth w Alzacyi. Pogodził się już ze swym bratem Henrykiem i miał go przy swym boku.

W Rumunii d. 16 b. m. złożyło przysięgę królowi nowe ministeryum p. Demetryusza Sturdży.

W Norwegii po długiej przerwie także stanęło nowe ministeryum radykalno-zachowawcze, noworodek skazany na śmierć. Pęd do rozerwania unii ze Szwecyą nie da się już powstrzymać zwykłymi środkami.

We Francyi Izby zebrały się d. 22 b. m., prezesowie wyrazili podziękowanie narodowe dla wojsk Duchesne'a. Z Madagaskarem przejść już nie będzie: jedna brygada zostaje na miejscu, a jednej brygady dość do spokojnego, powolnego, ale pewnego ujarzmienia. Protektorat pozostaje i nadal. Królowa utrzymana, tylko jej małżonek i pierwszy minister pewno pójdzie gdzie na mieszkanie *par force*. Wszystko teraz zależy od talentu kolonizacyjnego francuzów — a oni go właśnie mają niewiele.

Na Kubie nowe zwycięztwo powstańców. Stany Zjednoczone coraz niecierpliwiej przyglądają się walce. Maceo i jego koledzy spodziewają się już wkrótce uznania za stronę wojującą.

Baratieri posunął się do Antalo, stamtąd do Makellen — ciągle na południe. Rasowie ruszają się niby na północ, ale każdy zosobna, w wolnem tempie. Sam negus Menelik wprzód już jakby duchowo oślepły, zaniewidział teraz i oniemiał od fizycznego już pioruna. — istna legenda! Gdyby te 60,000, które mają abisyńczycy, mogły się zbić w jedno żywe ciało, tryumfy włoskie jeszczeby się zachwiały; ale przy rozdarciu i nieradności — północną Abisynię za straconą już uważać trzeba.

BADANIA NAUKOWE.

NOWE PRACE
W ZAKRESIE PSYCHOLOGII ZBIOROWEJ.

Przed paru miesiącami rozbieraliśmy w łamach *Prawdy* zjawiska, właściwe jaźni zbiorowej. Zaznaczyliśmy tam, że osoba pojedyncza, która dała porwać się prądowi masowemu, traci panowanie nad sobą i przestaje patrzeć krytycznie na wypadki. Na takiej to podstawie mogą powstać halucynacye zbiorowe i opaczne sądy o ludziach i wypadkach. Świeża praca Fr. Sologuba całkowicie, Le Bona zaś częściowo są poświęcone analizie wiarogodności takiego świadectwa *).

Uczestnik tumultu, według Sologuba, nie może, nawet przy najlepszych chęciach, być uważanym za świadka, któryby zasługiwał na zaufanie. Udowadnia on to twierdzenie za pomocą wielu przykładów, które zaczerpnął ze swojej praktyki, jako sędzia śledczy. Wybierzemy z nich najkrótszy i zarazem najcharakterystyczniejszy.

Pewne miasteczko zgorzało prawie do szczętu. Pożar objął tak szybko domki, iż mieszkańcy nie zdołali ocalić nawet swoich sprzętów. Jak zwykle bywa w takich wypadkach, rozkołysana wyobraźnia ludu zaczęła poszukiwać imiennego winowajcy. Uwaga jej, po paru dniach, zatrzymała się na jednym z obywateli miasta, który wyprowadził się tego samego dnia z domu, gdzie wszczął się ogień, na jedną z ulic ocalonych. Pogłoski i domysły przybrały taką groźną postać, rozamiętnienie zaś poszkodowanych obywateli było tak silne, że władze aresztowały tę osobę, bo inaczej padłaby ona ofiarą powszechnego gniewu. Zresztą pod wpływem wieści policya również była przekonaną, że ma w swojem ręku rzeczywistego winowajcę. Autor prowadził śledztwo, do miasteczka przyjechał

*) G. le Bon, *Psychologie des foules*, Paryż; oraz praca Sologuba w miesięczniku rosyjskim: *Russkoje bogactwo*.

LAURA MARHOLM.

KSIĘGA KOBIET.

Jeszcze najlepiej wypada stosunek Maryi Baszkircew do Boga. Przed nim wylewa całą swoję duszę, prosi go i żebrze o to, co jest konieczną potrzebą *jej* życia, składa przyrzeczenia, modli się, rozdaje jałmużny i obarcza Boga wyrzutami, gdy wszystko to nie pomaga. A nie pomaga. Piękny jej głos, wypróbowany i uznany przez jednę z największych powag paryskich, zanika wskutek cierpienia krtani, które skrada się powoli a działa szybko. Książę żeni się. Pierzchły nadzieje wielkiej sławy i wielkiej miłości.

Są to dwa pierwsze krwawe rysy, któremi życie zapisało się we wrażliwej jej duszy; rysy krwawe, które się nigdy nie zabliźnią, a z których tajemną drogą soki zepsute przedostaną się do części zdrowych.

I czyż to wogóle nie bajka, to, co mówię o bliznach? Czyż raczej nie na zawsze krwawią się owe pręgi, któremi dola lub ludzie duszę naszą rozranią? Te bolesne miejsca, które na całą długość życia drgają pod dotknięciem, a nawet pod powiewem. A tem są bolesniejsze, im delikatniejszym jest organizm, który ugodzony został. Nic zaś nie jest tak wrażliwe, jak organizm w rozwoju. Nerwy mają dobrą pamięć — pamiętają lepiej, aniżeli mózg. Bywają uderzenia, w młodości otrzymane, ślady palców, wyciśnięte w czasie rozwoju, o których długo zdawać się może, iż się zatarły — aż tu nagle pokażą się, jako miejsce gnijące, punkt zatruty, punkt butwienia całego organizmu. Albo też niemoc jakaś opada całą siłę życiową. Żyje się dalej. Lecz jeden mięsień, jeden jakiś maleńki zamiera, i dusza zastąpić musi to, czego zbrakło, przez większe naprężenie; a za naprężenie to pokutuje następnie szybszem, ogólnem znużeniem.

Bywają, zwłaszcza wśród kobiet, natury leniwe, pracujące z możliwie największym wysiłkiem, natury przeciętne, którym wystarcza średnie naprężenie sił. Bywają atoli i dusze płomienne, usposobienia pod względem psychicznym i zmysłowym zarówno gorące, które całą stawkę dzierżą zawsze w dłoni, całkowicie oddają się temu, co czują i czego pragną. Droga ich pokryta jest obumarłymi odpadkami życia, każdy zaś cios, który w nie uderza, godzi w samo serce. Żadna ochrona ich duszy od rozczarowań nie broni, bezpamiętny sen zwierzęcy ciału ich wypocząć nie pozwala. Lecz natury takie posiadają też zazwyczaj nieskończenie wielkich rozmiarów popęd dalszego rozwoju. Pełno w nich ran, ale też pełno nowych, rodzących się komórek Co życie podcięło, pozostaje podcięte, lecz wznoszą w sobie nową budowę, w innym kierunku, wśród nowych możliwości.

Naturą taką było młode dziewczę, którego głupie, mało, napół wmówione w siebie dzieje z taką tutaj traktują powagą. Była z tego drzewa, z którego los rzeźbi kobiety największe, lub które, strzaskane, na bok odrzuca Co się z tem drzewem stanie, zależy zazwyczaj od drobnostki.

Była bezgranicznie spieszczonem dzieckiem, gdy ugodził w nią cios pierwszy.

I czemże był ten martwy punkt, który przejawił się w niej wraz ze zgonem jej głosu, w epoce najpiękniejszego rozkwitu ciała? I czemże był ten martwy punkt, tam, nazewnątrz, w życiu, czemże był on właściwie, że, pragnąc tak gorąco, niczego otrzymać nie było można? Czuła na sobie jakieś złośliwe spojrzenie upiora i pod lodowem tchnieniem, które ją owiało, zadrżała strasznym dreszczem. Była dzielną dziewczynką. Nie skarżyła się, w przeszłość nie patrzyła, w milczeniu, stanowczo skupiła się w sobie. Nieokiełznany popęd do czynu pchnął ją na pole malarstwa. Nie mogła zostać wielką śpiewaczką, prawda — ale mogła przecież stać się wielką

w parę dni po pożarze. Znalazł on, że oskarżony był człowiekiem słabego charakteru, niezdolnym do podpalenia, które, bądź co bądź, wymagało pewnej energii. Pogrążony w głębokiej apatyi, nie miał ochoty nawet bronić się, oświadczył tylko, że opuścił dawne mieszkanie około siódmej rano, pożar zaś wszczął się dopiero w porze południowej. Śledztwo polegało na sprawdzeniu podawanego czasu, innych podejrzeń, prócz okoliczności, że przeprowadzka przypadła w dniu pożaru, nie było. Przy dopytywaniu się wystąpiły na jaw dwie kategorye świadków. Jedni zeznawali, że oskarżony wyjechał z ostatnim wozem, na którym znajdowało się koryto, przed ósmą. Zeznania tych ludzi odznaczały się dokładnością i ścisłością. Opowiadali, że po spotkaniu tego wozu byli tam a tam, załatwiali takie a takie sprawunki. Zwłaszcza wielką wagę posiadało zeznanie posterunku straży ogniowej, który był na dyżurze właśnie do godziny ósmej. Skutkiem tego świadek dawał dobrą rękojmię, że opowiadanie jego zasługuje na wiarę. Otóż twierdzi on, że oskarżony opuścił ostatecznie dom przed zmianą posterunku i wywiózłszy z niego koryto, zaryglował wrota. Tymczasem druga grupa świadków oświadczyła, że oskarżony uczynił to przed samym wybuchem pożaru — na pół godziny, może na kilka minut! Zestawiwszy wszystkie okoliczności, Sologub doszedł do przekonania, że nie można ufać świadkom drugiej kategoryi. Niewątpliwie widzieli oni ów wóz z korytem, ale w okresie, przedzielającym ten wypadek od pożaru, nie otrzymali wrażeń, któreby utrwaliły w ich pamięci różnicę czasu pomiędzy jednem wydarzeniem a drugiem. Później nastała chwila powszechnego zamętu, po niej domysły, wreszcie ogólne podejrzenia. Przeszło parę dni. W splocie tych warunków, w umyśle pewnych świadków, obie chwile niemal zlały się w jedną. Widzieli oni wypadki nie rzeczywiste, ale jak powinny się były odbyć według wieści powszechnych i uprzedzenia.

Le Bon również zastanawia się, o ile uczestnik masowego zdarzenia, pod wpływem powstałej jaźni zbiorowej, może zdrowo sądzić o rzeczach. „Gromada — mówi socyolog francuski — nie odróżnia stosunku przedmiotowego od podmiotowego złudzenia. Uważa ona za rzecz istotną obrazy, które istnieją tylko w jej umyśle i często posiadają bardzo oddalone pokrewieństwo z faktem dostrzeganym.“ Pewna fregata krążyła po morzu, poszukując śladów korwety, od której oddzieliła ją burza. Dzień był jasny, słoneczny. Zawiadomiono załogę z gniazda bocianiego, że się ukazał statek na powierzchni morza. Oczy wszystkich zwróciły się we wskazanym kierunku. Oficerowie i majtkowie widzieli wyraźnie rozbitków, dających sygnały o ratunek. Admirał wysyła łódź. Załoga jej dokładnie rozróżnia towarzyszy, którzy wyciągają ręce do niej, słyszy nawet z daleka szmer głosów, jednocześnie wołających. Kiedy wreszcie podjechano blizko, znaleziono tam kilka gałęzi, liściem pokrytych. Przykład ten przewybornie uzmysławia mechanizm halucynacyi zbiorowej. Z jednej strony mamy gromadę osób, które znajdują się w stanie natężonego oczekiwania, z drugiej zaś suggestyę, że tam na morzu widać statek z towarzyszami. Podanie pewnej idei, udzielono umysłom w szczególnym nastroju, doprowadziło do złudzenia. Dajmy na to, że w owej chwili zerwał się wiatr i uniósł gałęzie. Załoga nie byłaby wtedy wyprowadzoną z błędu, halucynacya zaś pozostałaby faktem niewątpliwym. „Spostrzeżenia zbiorowe — powiada z tego powodu Le Bon — są najbłędniejsze i najczęściej przedstawiają proste złudzenie pojedynczej osoby, drogą zarazy duchowej udzielone gromadzie. Podręczniki logiki uważają jednozgodność zeznań ze strony licznych świadków za najsilniejszy dowód, jaki można przytoczyć na poparcie faktu. Ale psychologia dowodzi, iż logika myli się. Najwątpliwsze zdarzenia właśnie te, które były spostrzegane przez bardzo wielką liczbę osób. Powiedzieć, iż na korzyść pewnego faktu świadczą tysiące widzów, znaczy tem samem przyznać, że fakt istotny różni się bardzo od podawanego wątku.“

Książka Le Bona posiada treść szerszą, aniżeli można wnioskować z powyżej przytoczonych wyjątków. Socyolog francuski usiłuje poddać rozbiorowi całokształt zjawisk, właściwych jaźni zbiorowej. Może należałoby nawet uważać jego dzieło jeśli nie za najudatniejszą próbę oświetlenia podniesionej tam kwestyi, to przecież za najsystematyczniejszą i najściślejszą z istniejących. Praca ta jest wolną od jednostronności psychiatrów i kryminologów, którzy dotychczas jedni zaprzątali się duchowością zbiorową i naturalnie rozpatrywali ją ze stanowiska swoich specyalnych studyów.

Le Bon w przedmowie oświadcza, że jest wolny od sekciarstwa jakiejkolwiek szkoły. Niestety, swoją pracą dowiódł on, że nikt z członków społeczeństwa, piszący o zjawiskach życia gromadnego, nie może wyzwolić się z powijaków swojego otoczenia. Mniema, że patrzy okiem bezstronnem, a w gruncie rzeczy coś z przesądów klasowych przyrosło do jego umysłu, dyktuje mu pewne pojęcia i każe rozpatrywać fakty pod pewnym kątem widzenia. Usterka to zrosłą natury podrzędnej, nie wywierająca poważniejszego wpływu na rozbiór psychiki tłumu. Mówimy o niej tylko dlatego, ażeby przypomnieć przy sposobności tę prawdę, że w nauce społecznej niepodobna stanąć na gruncie neutralnym. Natomiast inny błąd odbił się ujemniej na wywodach badacza francuskiego. Uwiedziony może szerokiem znaczeniem, nadawanem w języku rodzimym wyrazowi *foule*, zmieszał on z sobą dwa różne pojęcia: gromadę, która tworzy się w zgiełku na ulicy, występuje w wyroku sądu przysięgłych, w rzeszy wyborczej, przy urnie, a gmin lub wogóle tłum z różnych warstw społecznych złożony. Mając przed sobą gromadę, której wszyscy członkowie są pod wrażeniem tego samego faktu i zaczynają poddawać się wspólnemu duchowi, tem samem możemy tu a poszukiwać praw jaźni zbiorowej. Ale psychika gminu nie jest bynajmniej to samo, co duchowość zwartego tłumu, a nawet sekty lub partyi, które, bądź co bądź, są jaźniami zbiorowemi, rozproszonemi w przestrzeni. Jest to kategorya zgoła odrębnej natury. Skutkiem niewyróżnienia obu tych pojęć powstaje osobliwa gmatwanina: Le Bon analizuje bardzo umiejętnie i trafnie gromadę, potem przechodzi do gminu; wywody, wyprowadzone z poprzedniego rozbioru, zastosowywa do tej kategoryi, tem samem rozszerzają i przedstawia opacznie. Gromada, zwłaszcza zwarta, odznacza się odruchowością na pewne pobudki, pochopnością do czynu i ubóstwem żywiołu krytycznego — skutkiem zapanowania jaźni zbiorowej nad indywidualną. Gmin równie posiada w swojej duchowości te same rysy z powodu niskiego wykształcenia. Okoliczność ta sprawiła, że Le Bon snuje swoje wywody, nie spo-

---

malarką! Jednakże marzło w niej coś i tężało od chłodu — był to popęd młodego jej serca. Kielich się otworzył, a pozostał próżnym.

I jak dawniej, tak i teraz upływały lata dla tego dziecka szczęścia. Kilku obojętnych ludzi zmarło, kilku nowych, równie obojętnych, przybyło. Jeżdżono z Nicei do Paryża i z Paryża do Nicei, wszędzie zaś była jednako samotną. Nie miała ani towarzyszek, ani przyjaciółek, ani koleżanek; zwykłych węzłów serdecznych nie znała. Tylko kuzynka Dina, typowe młode dziewczątko, ładne, uległe zero, należała do orszaku podróżnego. Będąc zaś wiecznie samotną, Marya natomiast nigdy nie była samą. Gdziekolwiek szła lub stawała, tam szły i stawały matka i ciotka, gdzie zaś one nie szły, tam nie chodziła i Marya Baszkircew. Żadne wrażenie nie odbiło się całkowicie, bezpośrednio o jej własne *ja*. Padało zawsze, jednocześnie, na soczewki ciotki i matki. Nie słyszała słowa, któregoby zarazem inni słyszeć nie mogli. Nie spotykała się z żadnym mężczyzną, któregoby pod względem towarzyskim i jako „partyę“ za odpowiedniego nie uznano. Otaczająca ją atmosfera kobiet broniła przystępu każdej innej atmosfery.

Zwyczajnie — los młodego dziewczęcia. A w tej pozbawionej powietrza przestrzeni zaczęła wirować w coraz szybszem tempie, z coraz więcej rozgrzanymi nerwami, wokoło swojego *ja*. I mniemanie jej o sobie potęgowało się coraz bardziej. Wszystkie wielkie rysy jej duszy zmieniły się w przecenianie samej siebie, a jednak dziewczyna ta, która była geniuszem, nigdy ocenić się właściwie nie potrafiła. Wrodzona wykwintność jej czucia przyoblekła się w sukienkę małomieszczańskiej moralności. Młode zmysły — po pierwszem rozbudzeniu — popadły w letarg.

Mając lat szesnaście, doznała drugiego rozczarowania i fakt ten stał się punktem zwrotnym w dziejach jej wewnętrznych.

Ulegając błagalnym jej prośbom, rodzina pojechała z nią do Rzymu. Był to czas karnawałowy. Po odosobnieniu nicejskiem, wśród wesołego życia, łatwości, z jaką zawiązywano stosunki i znoszono hołdy, ogarnął wszystkich nastrój lekkomyślny. Jakiś młody człowiek, z arystokratycznej, starej, rzymskiej rodziny zaleca się do Diny. Marya odbija go kuzynce. Włoch dostaje się pod działanie całego aparatu jej iskrzącej się, dzikiej kokieteryi. To niezwykłe, zaczepne stanowisko zupełnie młodej dziewczyny olśniewa go. Przypuszcza tedy do niej szturm oświadczyn miłosnych. I Marya rozgrzewa się. Nie aż do najgłębszych warstw ciężkiej, gorącej swej natury, lecz zmysły jej, próżność, ambicya są podrażnione. Rodzina jej zaczyna traktować sprawę z wielką powagą, za pomocą odpowiednich pośredników. Marya zaś, w naiwności swojej, każe myśleć niecierpliwemu młodzieńcowi o legalnych uciechach małżeństwa. Włoch zręcznie, jak węgorz, prześlizguje się między temi skałami. Wie o tem, czego ani rodzina Baszkircew, ani dumna ze swego pochodzenia Marya nie pojmują, wie, że dla niego, jako dla siostrzeńca kardynała i jedynego tegoż spadkobiercy, tylko najwyższa arystokracya lub największy majątek w rachubę przyjęte być mogą, i nic też przeciwko temu nie ma. Tak tedy w rozmowie ciągle się wymijają: on mówi o miłości, Marya — o małżeństwie, on o samotnych schadzkach na schodach domu, o północy, ona — o pocałunkach zaręczynowych, pomiędzy śniadaniem a obiadem, pod dozorem rodziny. Kiedy wzmianki jego o sprzeciwieniu się wuja małżeństwu jego z parafianką innej wiary wywołują jedynie szaloną wściekłość rodziny z powodu doznanej zniewagi, każe się zamknąć na pokutę w klasztorze. Tym sposobem osiąga cel: rodzina Baszkircew opuszcza Rzym i rzuca myśl pozyskania sobie na zięcia człowieka tak pustego. Wracają do Nicei i więcej się już o nim nie mówi. Jeszcze raz Marya skłania rodzinę do odwiedzenia Rzymu i spotyka go na jakimś obchodzie. Lecz tu dowiaduje się, że kocha ją, gdy jest przy nim, a zapomina o niej, gdy jej niema. Po raz wtóry zapukała do wrót życia. Lecz gdy za pierwszym razem los wrota te z zewnątrz przytrzymał, to teraz u-

strzegając jednak błędności takiego postępowania.

Nie będziemy streszczali wątku myśli autora, ponieważ w znacznej części byłoby to powtórzeniem naszych wywodów, znanych już czytelnikom *Prawdy*. Zatrzymamy się więc tylko nad niektórymi ustępami.

Le Bon zbija poglądy Herberta Spencera, jakoby gromada przedstawiała jedynie sumę arytmetyczną składających ją jednostek. Słusznie zaznacza on, że mamy tam do czynienia ze zgoła nowemi właściwościami, podobnie jak przy łączeniu się z sobą paru pierwiastków chemicznych: wytwarzają one wtedy nowe ciało, odróżniające się swoimi przymiotami od składników, z których wynikło. „Pojedyncze osoby na mocy tego faktu, iż znalazły się w gromadzie, stanowić zaczynają jaźń zbiorową; czują one, myślą i działają w sposób odmienny od tego, jak czułaby, myślała i działała każda z nich osobno. Istnieją ideje i uczucia, które ukazują się lub zamieniają na czyn dopiero w gromadzie. Tłum psychologiczny to jestestwo chwilowe, stworzone z różnorodnych żywiołów, które zjednoczyły się z sobą na czas pewien. Podobnie komórki, stanowiące ciało żywe, swojem połączeniem dają byt nowemu jestestwu, posiadającemu przymioty różne od tych, jakie ma każda.“

Socyolog francuski wypowiada parę bardzo oryginalnych poglądów o stosunku jaźni zbiorowej do rasy, z której ta powstała. Przypomina on nam, iż życie świadome przedstawia jedynie bardzo drobny ułamek w porównaniu z pokładami nieświadomego, spoczywającymi głęboko w naszem jestestwie duchowem. Powstały one w różnych okresach czasu pod wpływem warunków otoczenia, zarówno przyrodzonych, jak i społecznych. One to rządzą zazwyczaj naszymi czynami, dyktują nam sympatye i są spadkiem, odziedziczonym przez pewien naród po dalekich praojcach. „Te żywioły nieświadome, stanowiące duch rasowy, są źródłem podobieństwa pomiędzy członkami pewnej rasy; pierwiastki zaś świadome, będące owocem wychowania, rozstrzygają o spostrzeganej różnicy. Osoby, bardzo odrębne od siebie swoją umysłowością, bywają nawzajem wielce podobne ze swoich instynktów, namiętności, uczuć. Pomiędzy wielkim matematykiem a jego szewcem przepaść umysłowa jest niezmierną, lecz pod względem charakteru małą albo nawet żadną. Otóż te cechy ogólne, wypływające z pokładów nieświadomego i w jednakim niemal stopniu właściwe wszystkim członkom pewnej rasy, uwydatniają się w gromadzie i rej tam wodzą.“ Jaźń zbiorowa, pod względem swojego temperamentu i wogóle zachowania, a więc gwałtowności lub slamazarności, odwagi lub ostrożności, powściągliwości lub nieopatrzności, stanowi jak gdyby kwintesencyę ducha rasowego. Rasa, to roztwór szczególnego rodzaju, z którego mogą osadzić się tylko pewnej formy kryształy jaźni zbiorowej. Gromada, złożona z odmiennych pierwiastków rasowych, chociażby znalazła się w obliczu jednakowych warunków i analogicznych podniet, będzie przedstawiała psychikę bardzo odmienną. Tłum paryski, na wieść o przegranej wojsk francuskich, doznaje wstrząśnienia, które może zakończyć się rewolucyą. Za czasów wyprawy tonkińskiej zebrał się przed parlamentem i rozszarpałby ówczesnego prezesa gabinetu na miejscu, gdyby ten nie umknął. Tymczasem pogłoska o rozbiciu Gordona w Sudanie egipskim, lubo porażka była dotkliwszą, oddziałała na obywateli Londynu zgoła inaczej.

Gromada przypomina mi nieco amebę. Jak ona pewną część swojej protoplazmy wysuwa przed siebie w postaci pseudopodyów (niby-nóżek), tak samo tłum, znajdujący się w stanie podrażnienia lub egzaltacyi, wysuwa zpośród swoich uczestników coraz nowe osoby, które wypowiadają, co tam nurtuje w jaźni zbiorowej. Przypatrując się takiej gromadzie, widzimy co chwila innych kierowników: jedni zrobili swoje, wzbudziwszy namiętności, inni, na podstawie roboty poprzedników, rzucają hasło do czynu, inni wreszcie są wykonawcami. Ta strona duchowości zbiorowej jest może najmniej zbadaną. Dotyka się jej także Le Bon i wypowiada wiele bardzo trafnych poglądów. Usiłuje nawet, korzystając z dotychczasowej empiryi, zbudować naukę oddziaływania na tłum. Ale w tej analizie dał się zanadto uwieść przenoszeniu na gmin właściwości gromady i poplątał jej przodowników z kierownikami ruchów społecznych i religijnych.

L. K.

LITERATURA I SZTUKA.

Z NIEMIEC.

Berlin, w październiku.

Berlin upaja się „Matkami“; nie są one z drugiej części Goethego, owo wcielenie nadziemskiego piękna i odwiecznych idei, których widok przejmuje otuchą przepojone goryczą zwątpienia serce Fausta i pokrzepia jego nadwątlone rozmyślaniem jestestwo; „Matki,“ o których mowa, są to dwie berlinki, wyprowadzone na scenę przez 22-letniego Jerzego Hirszfelda. Ma on zarodki talentu, wielkie poczucie prawdy i dar spostrzegawczy, lecz z drugiej strony zbytnio jest przesiąknięty niemieckiem „Gemüth,“ mieszaniną idealizmu i sentymentalizmu, wskutek czego w jego poglądzie na świat brak równowagi i zgodności, w chwilach stanowczych nie śmie prawdzie spojrzeć prosto w oczy i poświęca ją dla podszeptów i dobrych chęci młodego serca. Jednak ten delikatny młodzieniec o kobiecym charakterze i wyrazie twarzy potrafił zyskać łaski publiczności berlińskiej; jego sztuka wzbudza zapał i, co jest rzeczą wcale niesłychaną, wyciska łzy z oczu zimnych berlinek. W sztuce występują dwie matki: jedna z nich robotnica, Marya Weil, jest tylko matką *in spe*, jak wyznaje w akcie czwartym; jakkolwiek podług Kanta możliwa matka niczem się nie różni od rzeczywistej. Krytycy łamali sobie głowę nad zagadką, gdzie jest druga i nareszcie zawyrokowali, że owa Marya Weil, jako troskliwa opiekunka swego kochanka, zasługuje na to, aby figurować na afiszu obok legalnej rodzicielki.

Treść dramatu jest zaczerpniętą z życia Berlina, a raczej dwu Berlinów: jednego, który ma piękne domy w Westen, spędza noce nad „Wein, Weib und Gesang“ w gabinetach Ulma i rozkoszuje się „Madam sans Gêne“ w teatrze pod Lipami, i drugiego, którego życie składa się z wyczerpującej pracy, trosk o jutro, tańców niedzielnych w Hallensee i „Specialitäten“

---

chylił je tylko o tyle, aby pokazać jej wykrzywioną szyderczym uśmiechem twarz błazna i aby je potem natychmiast zatrzasnąć.

Nikt jeszcze nie próbował opisać, co się w takich chwilach dzieje w duszy młodego dziewczęcia. Jak to tysiące młodych pragnień przepala się na węgiel, jakby ugodzone piorunem. Co więcej, jak odrzucone pragnienia stają się wstrętne w oczach tej samej młodej dziewczyny. Jak taka doznana zniewaga olbrzymieje, nabiera rozmiarów potwornych, jakby się ją zmyć chciało bodaj krwią własną. Mężczyźni nie mają pojęcia o podobnym stanie i nie zrozumieliby go, gdyby im się nawet objawił. Wzrastają bowiem wśród realnych warunków życia, podczas gdy młoda dziewczyna w atmosferze nierealnej. To, co mężczyzna uczuwa jako rozczarowanie, jest niem istotnie, podobnie jak i mniemanie jego o sobie równoważy się prawdziwą jego wartością, jeśli nie jest głupcem. U młodego dziewczęcia mniemanie to spotęgowane jest przez wychowanie aż do fantastyczności, aż do niemożliwości, tem więcej, im moralniejszem jest to wychowanie i im wyłączniej przez kobiety dozorowane. Ochrona czystości jest zasadniczym paragrafem katechizmu dziewczęcego. Ponieważ jednak dziewczę nie dowiaduje się — nie zgaduje nawet, na czem właściwie owa czystość polega i wskutek czego utracić ją można, więc dla stracenia jej wystarcza może ziarnko piasku, przelotne dotknięcie, a z pewnością — pocałunek. Marya Baszkircew dała go i przyjęła. A potem zapomniano o niej, wzgardzono nią! Pocałunek ten palił ją, jak tajemne piętno, do końca życia. *Ona* go nie zapomniała. A z tego przekształcenia rzeczy realnych na nierealne, będące w duszy młodej dziewczyny zwierciadłem, w którem widzi odbicie świata, wynika nadto niezmierne przecenianie własnej wartości w stosunku do mężczyzny. Wartość mistycznej, czystej dziewiczości przedstawia jej się jako coś niezmiernie wielkiego; jeśli obdarzy nią mężczyznę, to da mu rzecz nadzwyczajną, którą kornie przyjąć powinna. Jakież słowa wypowiedzą jednak upokorzenie, którego doznaje, gdy mężczyzna z czcią należną daru tego nie przyjmuje, co więcej, gdy zwraca go, niby parę nieodpowiednich dla niego pantofli! Na pewnym punkcie wszystkie młode dziewczęta są głupie, nawet najzdolniejsze...

Przygoda z włochem podcięła coś w Maryi Baszkircew, i już się to w niej nie odrodziło. Pierwsze spotkanie z mężczyzną, pełne rasowych i innych nieporozumień, zabiło w niej wiarę w mężczyznę, tak jak zabija ją kiedyś w każdej młodej dziewczynie, która żyje życiem indywidualnem i ma naturę nierozdwojoną. I nastąpiły dla niej, jak dla wielu innych, lata martwo, ciągnące się aż do dwudziestki, kiedy to z innego poglądu na życie wyrastać zaczyna nowa, zupełnie odmienna wiara. W niej ona już się nie zrodziła. Soki życiowe wypaliły się wcześniej. Natomiast owo martwe lata wypełniają się u niej, podobnie jak obecnie u wielu dziewcząt „dążących,“ jakiemś zatrważającem pragnieniem czynu.

Chciała stać się *czemś* dla siebie, jako osobowość.

Zmusiła matkę i ciotkę, aby pojechały z nią do Paryża. Wstąpiła do pracowni malarskiej Juliana, „jedynej dla kobiet, którą brać można poważnie. Pracuje się tam codziennie od 8—12 i od 1—5.“

Lecz ona pracowała jeszcze więcej. Rozpieszczonemu dziecku, które nie znało wysiłku, nie wystarcza osiem surowo przestrzeganych godzin. Pracuje jeszcze wieczorem, po powrocie do domu, pracuje w niedzielę, dla świata umiera, odmawia sobie wszelkiego zbytku, prócz codziennej kąpieli i doprowadza do tego, że naukę, objętą siedmiu latami, odbywa w przeciągu dwu. „Teraz sama musisz pani pracować,“ powiada jej pewnego dnia Julian. „To, czego się trzeba było nauczyć, nauczyłaś się pani!“

(D. c. n.).

u Szypanowskiego. Te dwa światy, które, że zapożyczę zdania od Beaconsfielda, mniej się znają i lubią, niż dwie wrogie sobie narodowości, godzą się w czwartym akcie za pośrednictwem anielskiego serca panny Jadwigi Frey, siostry bohatera. Słowo to atoli nie powinno nikogo wprowadzać w błąd. Robert, bohater jakich wielu w nowoczesnej literaturze niemieckiej, jest nim tylko nominalnie i zasługuje na to szczytne stanowisko jedynie dlatego, iż jest jakby środkowym punktem akcyi. W rzeczywistości Robert jest młodzieńcem chwiejnym, pozbawionym wszelkiej energii. Bohaterstwem można chyba nazwać tylko jego protest lub raczej kiwanie palcem w bucie przeciwko despotycznej woli ojca, którego ręka ciąży nad całym domem. Rządził on niepodzielnie wszystkimi i wszystkiem. Syn, jakkolwiek zapowiadał wielki talent muzyczny, wstąpił do fabryki domu Freyów. Młodzieniec „tęsknił za Grecyą,“ rwał się do dziedziny twórczości i piękna, chciał wzbić się wysoko ponad błahości interesów pieniężnych, a pomimo to był zmuszonym chodzić w deptaku służby kantorowej. Miało to dla niego tylko tę dobrą stronę, iż dzięki swemu stanowisku zapoznał się z robotnicą Maryą Weil, która pokochała go całą siłą swego prostego, dziewiczego serca. Gdy wieść o tym romansie doszła uszu ojca, wygnał syna z domu. Nikt temu nie śmiał zapobiedz. Nie wolno było wymieniać imienia syna, mówiono o nim, jako o „człowieku“ (der Mann), a kochankę jego nazywano „osobą.“ Roberta nie zawołano nawet do śmiertelnego łoża ojca. Dla wychuchanego benjaminka, przerzuconego ze sfery wygód i dobrobytu do świata nędzy i pracy, Marya Weil staje się prawdziwym stróżem aniołem. Uginając się pod ciężarem, który właściwie powinien był spocząć na dwu plecach, jest szczęśliwą, że może dać kochankowi dobrobyt, który umożliwiłby mu pracę twórczą. W knajpie Robert komponuje, rozumie się nie darmo, gdyż właściciel żąda od wagnerzysty bawienia gości muzyką. Znany komunał twierdzi, iż wielkie talenty potrafią wybić się po nad wszystkie trudności. *Per aspera ad astra!* Co do wartości talentu Roberta, jesteśmy bardzo mało poinformowani; widzimy tylko, iż bohater żadną miarą nie może przyzwyczaić się do życia proletaryuszów. Marya stara się za pomocą swej nadludzkiej pracy zaspokoić wszelkie jego rzeczywiste i urojone potrzeby. Lecz to delikatnemu bourgeois nie wystarcza. Miękka pierzyna i smaczne kotlety nie dadzą się niczem zastąpić. Robert znosi ciężki los, powodowany miłością i wdzięcznością dla Maryi, boć podobno, jak mówi nasz wielki wieszcz, „długo serce młodzieńca proste i dziewicze, chowa wdzięczność za pierwsze miłości słodycze.“ Nareszcie jednak zatęsknił za swoimi i dowiedziawszy się z gazet o śmierci ojca, napisał list do siostry. Ta posyła do brata jego dawnego nauczyciela muzyki, Rolfa, który oznajmia, iż w matce przemówił wreszcie głos uczucia. Zaszły w niej rzeczywiście wielkie zmiany. Gdy jej szwagier w roli wspólnika interesu chciał przywłaszczyć sobie prawa nieboszczyka i wstąpić w jego ślady, wdowa stawia mu opór. Ludwik Frey nadaremnie stara się dolać oliwy do ognia urazy, dogorywającego w sercu matki. Gdy despotyczny szwagier żąda wydziedziczenia Roberta, ona wymawia mu posłuszeństwo. Dowiedziawszy się od córki o liście syna, zgadza się na jego powrót, przypuszczając, że to wpłynie na zerwanie ze wszystkiem, co go przykuwało do „tamtego“ świata. Robert, namawiany przez Rolfa, waha się; wie, iż starga drogie mu życie szlachetnej kochanki; pamięta, iż przygarnęła go wtedy, gdy jego rodzeństwo, wyparłszy się go, pozostawiło na bruku. Rolf zapewnia, że Jadwiga żywi szacunek i życzliwość dla Maryi i że nie jest wykluczoną możliwość pogodzenia dwóch stron zwaśnionych. Robert wreszcie mięknie. Następuje wzruszająca scena spotkania z siostrą, a potem z matką. Syn oświadcza, iż sercem należy do innej; ta zaś będzie przeciwną wszelkiej ugodzie, gdyż żywi bezwzględną nienawiść do sfery, której on jest dzieckiem nieodrodnem. Żaden złoty most pojednania nie da się przerzucić pomiędzy tymi dwoma światami. Matka z początku żąda ślepej uległości, lecz widząc rozgoryczenie syna, wyraża chęć ustępstw. Marya Weil postanawia udać się do Freyów dla odzyskania kochanka. Gdy tu przybywa, Jadwiga przyjmuje ją jako siostrę. W słowach, nacechowanych szczerością i świadczących o bezmiernej dobroci, nieznającej granic i przesądów kastowych, wyraża jej swą wdzięczność za wszystko, co uczyniła dla Roberta. Przytem oznajmia, że wycieńczony jego organizm wymaga pielęgnowania, a talent — gruntownych studyów. Biedna proletaryuszka nie może podołać tym potrzebom. Marya uznaje słuszność słów Jadwigi i daje się rozbroić czułością i szlachetnością, któremi tchnie cała istota siostry jej kochanka. Postanawia uczynić z siebie ofiarę. Żegna się z Robertem i oświadcza mu, iż nie chce być kulą u nóg jego, prosząc, aby pracował i dopiął celu upragnionego przez nich.

Jedno z pism tutejszych ogłosiło rozdział z niewydanej pracy Nietzschego p. t. „Filozofia grecka w okresie tragicznym.“ Rzecz jest ciekawa jako przyczynek do psychologii autora. Wielkich ludzi charakteryzuje wybór ulubionej postaci historycznej. W danym wypadku uderza nas to, iż wybór padł na osobistość umiłowaną przez jego antypodę Lassala. Ten, jak wiadomo, piętnaście lat pracował nad ułożeniem genialnej i pięknej mozaiki z rozproszonych aforyzmów Heraklitesa. Krytyka wykazała, iż pomimo sumienności i zdumiewającej erudycyi autora, portret „ciemnego“ filozofa nosi wybitne piętno duszy pisarza, który przedstawił Heraklitesa takim, jakim go widzieć chciał. „Pokrewne duchy — mówi gdzieś Heine — porozumiewają się po przez stulecia.“ Lecz jakże mało było wspólnego, oprócz dyalektycznego sposobu myślenia, pomiędzy Heraklitesem, wrogiem demokracyi i filozofem, bujającym w przestworzach dociekań, a płomiennym trybunem ludowym. Inaczej rzecz się ma z Nietzschem. Heraklitos, olśniewający fajerwerkami aforyzmów i z pogardą spoglądający ze swych obłoków na mrowisko pracy i niedoli, robi niekiedy wrażenie starożytnego Nietzschego. Autorowi „Zarathustry“ zaimponował filozof ten z wielu względów. Przedewszystkiem dlatego, iż duszy „ciemnego“ mędrca, jak nas zapewnia Nietzsche, są nieznane tony cierpienia i goryczy. Nie zna rozdźwięków, lecz harmonię; nie zna smutku, lecz ekstazę. Sprzeczności bytu nie zrażały go; lepiej, niż ktokolwiek inny, uświadomił sobie zmienność zjawisk świata; rzeka nie jest już tą samą, mówimy, gdy po raz drugi stawiamy w niej stopę; we wszystkiem działa walka żywiołów; prawda jest kłamstwem i ogień jest wodą, a jednak ten sam Heraklites z olimpijskim spokojem wygłasza swe prawdy i świadomością swą panuje nad całym obszarem mieniącego się nieskończonem bogactwem form wszechświata. Nietzsche chwali Heraklitesa również za jego dumę i samotność. Jest z wielkim szacunkiem dla filozofa, który nie dbał o poklask tłumu i ze wzrokiem utkwionym w wieczność kroczył samotnie po drodze do prawdy i nieśmiertelności.

or.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

P. Marcellina Sembrich. — Towarzystwo muzyczne. — Koncert w cyrku. — Lutnia.

Zeszłego tygodnia „wielkim wypadkiem“ w świecie muzycznym było ukazanie się gwiazdy pierwszorzędnej: p. Marcelina Sembrich, która już lat kilka nie wstępowała do naszego miasta, zbierając wawrzyny w wielkich stolicach europejskich i zamorskich, wystąpiła z koncertem w Salach Redutowych.

Głośna artystka ma już dzisiaj sławę taką ustaloną, takie wybitne stanowisko zajmuje śród spółczesnych śpiewaczek, że zwalnia to sprawozdawcę od szczegółowego rozbioru jej występu. Przedewszystkiem natura wyposażyła ją w głos o niezwykle pięknym dźwięku, rozległy, giętki, nadający się do koloratury, i intuicyę artystyczną, a z temi danemi, przy pracy, łatwiej już znacznie dojść do tych rezultatów, jakie śpiewaczka osiągnęła. Słuchacz pewien jest, że nie zawiedzie jej intonacya, że artystka pokona najtrudniejsze tryle i fioritury, odczuje zawsze styl kompozycyi, nie zaniedba wydobyć na jaw najdrobniejszego szczegółu danego utworu, i zdumiewa go ten wyższy artyzm, olśniewa bogactwo zasobów wokalnych, w podziw wprowadza prostota i finezya wykonania, ale — nie porywa. W doprowadzonym do najwyższej doskonałości technicznej śpiewie rozgłośnej artystki niema duszy. Zdawaćby się mogło, że zabłąkała się gdzieś w przejściu z gamy chromatycznej do wielkiego pasażu.

Program pani Sembrich obejmował arye: *Casta diva* („Norma“ Bellini'ego) i z „Wesela Figara“ (Mozart'a) nadto pieśni Chopina, Moniuszki, Zarzyckiego i popisowy walc Arditi'ego *Parla*.

Do fortepianu zasiadła na koncercie pani Hochedlingerowa. Siła i technika, to główne jej gry zalety, o wiele też lepiej wychodzą z pod palców pianistki utwory Liszta i Tausig'a aniżeli Chopina; wykonanie „Ballady“ było blade, pozbawione wszelkiej cechy indywidualnej.

Żywioł kobiecy stanowczo przeważa dziś u nas w kunszcie fortepianowym, a najlepszym tego dowodem, że w sprawozdaniu niniejszem o dwóch jeszcze pianistkach pisać mi wypadnie. W chronologicznym porządku idąc, oddaję pierwszeństwo pannie Celinie Wędrychowskiej, która przedstawiła się publiczności w Towarzystwie Muzycznem. Uczenica Szlecera, Zarzyckiego i Leszetyckiego, ma wszystkie zalety dobrej szkoły, — spokój, poprawność, dużą bardzo biegłość, smak, poczucie stylu i rytmu. Te wszystkie zalety sprawiły, że uzdolniona bardzo artystka bez zarzutu odegrała trudne „Waryacye“ Rameau w układzie Leszetyckiego i nową, jednę z najlepszych może, kompozycyę Zarzyckiego „Introdukcya i krakowiak,“ zalecającą się zarówno znakomitem opracowaniem jak melodyjnością motywów. Do wykonania „Scherza II minor“ Chopina zabrakło młodej pianistce temperamentu i samodzielności w pojęciu.

Na tymże koncercie Towarzystwa Muzycznego popisywało się jeszcze jedno „cudowne dziecko,“ — dziesięcioletni skrzypek Leopold Przemyśler. Usposobieni sceptycznie, zostaliśmy odrazu, po wykonaniu *Gesangscene* Spohr'a, rozbrojeni. Ten nieletni skrzypek to talent niezaprzeczony, zadziwia przedewszystkiem śpiewnym bardzo tonem, czystością gry i spokojem. Mieliśmy sposobność słyszeć go dwukrotnie (drugi raz w sali cyrkowej) i stwierdzić możemy, że smyczek chłopczyny nie zawiódł go ani razu, nawet w tak trudnym pod względem technicznym utworze, „Tańce cygańskie“ Nachez'a. Niepodobna z tych pierwszych występów wyciągać wniosków na przyszłość, ale zdawaćby się powinno

że Przemyśler, dalej tak dobrze jak dotąd prowadzony, zajmie kiedyś niepoślednie miejsce w rzędzie wirtuozów skrzypcowych.

Program koncertu Towarzystwa Muzycznego dopełnił występ rutynowanej śpiewaczki, p. Justyny Machwicówny oraz p. Buchowieckiego, obdarzonego rozległym i dźwięcznym głosem barytonowym o basowem brzmieniu i posiadającego dobrą szkołę. Odśpiewał on, między innemi, trudną aryę z oratoryum Händla „Mesyasz,“ bardzo poprawnie, tylko, że arya podobna bez dla chorów, z akompaniamentom fortepianowym, traci dużo i, zdaniem naszem, na taki popis solowy się nie nadaje.

Faktem stwierdzonym dawno jest, że publiczność warszawska, mimo swej rzekomej muzykalności, nigdy nie pośpieszy na koncert dla wykonywanego *utworu*, tylko dla *wirtuoza*. Niech się zjawi „gwiazda,“ rodzaju męskiego czy żeńskiego, i program zapowie najbanalniejsze, najbardziej osłuchane i ograne kompozycye,—sala koncertowa zapełni się po brzegi. Mogą natomiast urządzający koncert zamieścić w programie nazwiska nieśmiertelnych mistrzów, szeregi krzeseł świecić będą pustkami jeśli na przynętę nie dodadzą imienia rozgłośnego wykonawcy czy wykonawczyni. Nowego dowodu na poparcie słów naszych dostarczył wielki koncert, urządzony w niedzielę w sali cyrkowej na dochód szpitala dla dzieci, ze współudziałem chórów i orkiestry teatru Wielkiego oraz p. Wędrychowskiej i Przemyślera, jako solistów.

Pustki przerażające tam panowały, choć program obejmował między innemi takie arcydzieła, jak uwertura „Leonora Nr. 3“ Beethoven'a, śliczną serenadę z „Verbum Nobile“ Moniuszki i wspaniały finał z „Niemej z Portici“ Auber'a. A tak chóry, jak i orkiestra wywiązały się z zadania bez zarzutu. Zbierali też i soliści zasłużone oklaski od nielicznej garstki słuchaczów, co przyszła poprzeć cel szlachetny koncertu.

Trzecią fortepianistkę, o której nam dzisiaj pisać przychodzi, jest pani Jadwiga Zaleska, znana publiczności naszej jako panna Iwanowska w podwójnym charakterze pianistki i deklamatorki. Po latach wielu usłyszeliśmy ją znowu na pierwszym tegorocznym koncercie „Lutni.“ Przez ten czas młodziutka aspirantka do kunsztu fortepianowego, dzięki kierunkowi Rubinsteina i własnej pracy, dojrzała na artystkę, z którą bądźcobądź liczyć się trzeba. Śmiałość i brawura panują w jej grze; radzibyśmy widzieć więcej klasycznego spokoju w traktowaniu takich utworów jak „Fuga i Waryacye“ Paderewskiego, a mniej widocznego wysiłku w wykonywaniu kompozycyi w rodzaju „Rapsodyi“ Liszta. Biegłość ma p. Zaleska dużą, ale za wiele ufa sile ręki i lepiejby może było, gdyby w repertuarze swoim miała utwory mniej na efekt obliczone.

Solistą-śpiewakiem na koncercie „Lutni“ był p. Wiktor Grąbczewski, do niedawna baryton, od kilku miesięcy w tenora przedzierzgnięty. Jakkolwiek pozostała panu Grąbczewskiemu jeszcze barytonowa emisya głosu, czemu się wobec tak krótkiej pracy nad przemianą dziwić niepodobna, niemniej uważamy, że szczęśliwa intuicya podyktowała mu tę przemianę. Tenor jego ma dźwięk metaliczny, skalę wyrównaną, pozbawiony jest wszelkiej krzykliwości i tylko w górnym regestrze brak mu jeszcze odpowiedniego ustalenia. Znać nadto, że młody śpiewak kształcił się w szkole francuskiej, świadczy o tem szlachetne frazowanie, szczere uczucie, pozbawione czułostkowości, unikanie banalnych, krzykliwych efektów i wyraźna bardzo dykcya. Wszystkie te pierwszej wagi zalety wykazał p. Grąbczewski zarówno w aryach operowych (z op. „Benvenuta Cellini“ Diaz'a i ze „Strasznego Dworu“ Moniuszki) jak w dodanych nad program pieśniach.

Chór Lutnistów wydawał nam się jakiś niedysponowany, może długa choroba dyrektora wpłynęła na rozprzężenie karności drużyny; „nieześpiewani“ byli na pierwszym tegorocznym popisie swoim, co najbardziej uwydatniło się w chórze z „Fidelia“ Beethoven'a. *Br. N.*

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z ANGLII I O ANGLII.

(Dokończenie).

Krokiem prawie burzycielskim trzeba nazwać jednę reformę ustawodawczą, doprowadzoną do skutku przez ministeryum zachowawcze. Jest ona tak doniosła, że na kontynencie trudno nawet marzyć o podobnej. Mamy na myśli reformę zarządu wojskowego, której prasa europejska zrozumieć nie mogła. Dziennikarstwo francuskie mówiło już o wprowadzeniu powszechnej służby wojskowej w Anglii — pisma niemieckie prorokowały wytworzenie „wielkiej armii“ itd. Tymczasem armia angielska jest już wielką i dostateczną dla celów państwowych, a o zaprowadzeniu powszechnej służby wojskowej nikt ani myśli do dziś dnia. Zmiana w zarządzie wojskowym odbiera tylko władzy wykonawczej naczelne dowództwo nad wojskami krajowemi. Królowa Wiktorya, wstępując na tron, zrzekła się sama tej roli, którejby spełnić nie umiała; małżonek jej królewski nie miał ochoty przyjąć godności, którą mu ciało prawodawcze zaofiarowało. Wellington wszakże nie chciał dopuścić, aby naczelne dowództwo nad armią stało się odpowiedzialnem przed Izbą urządzeniem krajowem; wszak to były niespokojne czasy. W ten sposób książę Cambridge objął buławę naczelnego dowódzcy, pozostając nieodpowiedzialnym wobec Izby. I oto dziś głowa toryzmu, margrabia Salisbury, przyjmuje na siebie rolę burzyciela i oddaje naczelne dowództwo *urzędnikowi* krajowemu, odpowiedzialnemu przed Izbą prawodawczą. Tę zasadniczą zmianę ustawową dokonano bez najmniejszej wrzawy, bez protestu.

Reforma powyższa nie jest wcale oderwanem zjawiskiem z życia społecznego zjednoczonego królestwa; jest ono raczej koniecznym objawem prawie że zakończonej już walki między mieszczaństwem a *gentry*, która do niedawna jeszcze stanowiła personel rządzący. Nie było i niema wcale walki w Anglii między koroną a systemem parlamentarnym; trudno nawet mówić o nieporozumieniu lub nieufności między składowemi częściami państwa. Zmiana konstytucyjna uświęca tylko nową zasadę, wprowadzoną do rządu krajowego, według której dostojeństwa powinny być w rękach urzędników jako specyalistów uzdolnionych, a nie przywilejem klasy lub rodu. Ta sama zasada, która własności ziemskiej odebrała samorząd prowincyonalny (hrabstwa) i gminny (parafii) — wpłynęła i na to, że naczelne dowództwo wojsk objął Wolseley, urzędnik, płatny i kontrolowany, zamiast dawnego, przed parlamentem nieodpowiedzialnego dostojnika. Znamiennym tylko dla Anglii faktem jest ta okoliczność, że taką zmianę przeprowadza Salisbury, naturalny wódz *gentry*, konserwatysta z temperamentu i z wychowania.

Zmianom, zachodzącym u „góry,“ odpowiadają zjawiska życia u podstaw. Z tych ostatnich zaznaczymy dziś olbrzymiej doniosłości zjazd stowarzyszeń zawodowych w Cardiff. Tradeunionizm angielski ma to do siebie, że pomimo swej wyłączności jako organizacya klasowa, jest zarazem podstawowem urządzeniem krajowem, od którego bywa zależny prawidłowy rozwój Wielkiej Brytanii. Pokaźna, bo półtora miliona wynosząca liczba skupionych w związkach zawodowych, nie stanowi jeszcze głównego znaczenia tradeunionizmu. Najważniejszym rysem znamiennym tego urządzenia jest to, iż w nim znajduje obronę ludność pracująca w głównych źródłach bogactwa krajowego: w tkactwie, górnictwie, warsztatach mechanicznych. Tradeunionizm więc przedstawia uświadomioną pracę krajową, tę, od której rozwoju zależy byt kraju. Na nieszczęście dla angielskiego ruchu najmickiego zjazdy tradeunionistów w ostatnich latach straciły wszelkie znaczenie. Związki słabe, często fikcyjne lub też przedstawiające zawody w agonii (jak np. nożownicy, szklarze itd.), a zatem nieodczuwające odpowiedzialności, zaczęły wytwarzać większość, prowadzoną na pasku przez garść awanturników politycznych. Zeszłoroczny zjazd doszedł wreszcie do tego, iż po długich mówkach i deklamacyach, nie miano już czasu zająć się porządkiem dziennym; zjazd więc przyjmował uchwały niewykonalne, a wszystkie sprawy naglące i bieżące przekazał do *załatwienia* swemu komitetowi parlamentarnemu, grającemu rolę władzy wykonawczej. Krok ten był świadectwem nieudolności zjazdu. Nie dziw więc, że poważno związki zawodowe zagroziły wycofaniem się.

Przestraszony temi groźbami komitet parlamentarny, natchniony przez Johna Burnsa, postanowił dokonać zamachu stanu. Korzystając z upoważnienia zeszłorocznego, uchwalił on nowe przepisy obrad, które, jako *załatwione*, miały już obowiązywać zjazd tegoroczny. Obostrzono warunki, dopuszczające wysłańców na zjazd i tem samem wyrzucono zeń wszystkich „szynkarzy, pismaków i warchołów“ (słowa Burnsa); ustanawiając głosowanie od liczby reprezentowanych zawodowców, oddano berło w ręce związków silnych, a zatem umiejących nad sobą panować. Jednem słowem, nadano zjazdowi w Cardiff wyraz siły rzetelnej, pełnej poczucia odpowiedzialności i świadomości swych dróg. Wyniki wiecu były rzeczywiście okazałe: Nie wchodząc w szczegóły pojedynczych uchwał, z których niemal wszystkie świadczą o postępowym duchu obrad, zaznaczymy tu, że uchwałę, wymierzoną przeciw zasadom wolnego handlu i swobodnego napływu sił roboczych, przyjęły przeważnie związki słabe, walczące z przesileniem przemysłowem, „cięte w mowie,“ ale słabe duchem. Postanowienia zaś o dążnościach politycznych dowodzą solidarności świadomej pracy z polityką lorda Rosebery'ego. Zjazd przyjął nawet uchwałę, wyrażającą swe uznanie byłemu rządowi za jego szczerą działalność na polu prawodawstwa i tem samem wykazał, że *zorganizowana* praca nie ma nic wspólnego z „niezależną.“ Obecne zjazdy zawodów oddzielnych prawie że jednomyślnie przyjmują uchwały, dążące do zaznaczenia tej różnicy. Okoliczność ta jest niezmiernie ważną dla odrodzenia stronnictwa wolnomyślnego.

Jeśli związki zawodowe przedstawiają żywioł walki, to współdzielcze, pomimo swego skrajnego idealizmu, ciągle pokojowo prowadzą swe obrady doroczne. I nie dziw: podczas gdy w stowarzyszeniach zawodowych sprawy dnia i walka o grosz roznamiętniają szeregi, członkowie stowarzyszeń współdzielczych są jednocześnie budowniczymi, przed których oczami rysują się kontury gmachów z dalekiej przyszłości. Oderwane próby kooperacyi istniały w Anglii jeszcze przed Owenem, ale dopiero „wielki Robert“ zyskał posłuch większy dla zasady łączenia kapitału i pracy w jednych rękach. Od Owena datuje się prąd ożywiony, ale marzycielski poniekąd w zakładaniu stowarzyszeń współdzielczych. Około r. 1840 nastąpiło przesilenie; sklepy spożywcze i warsztaty

współdzielcze nie mogły się utrzymać przy życiu. Zasada wszakże stała się żywotną i po powodzeniu kooperacyi w Rochdale ruch na nowo się ożywia. Dziś mamy przeszło tysiąc stowarzyszeń współdzielczych. W kooperacyi należy odróżnić wytwórcze od spożywczych. Te mają swe ognisko w stowarzyszeniu „hurtowem“ (wholesale) w Manchesterze, którego obrót roczny przewyższa sumę 8¼ miliona funtów sterlingów (wytwarza za 760,000 funt. st.). W Szkocyi „hurtowy“ oddział ma 2,700,000 rocznego obrotu (z własną produkcyą 340,000 f. st.). Daleko skromniej przedstawia się kooperacya wytwórcza; ostatnie lata wykazują straty, które należy wszakże rozważać w związku z ogólnem przesileniem przemysłowem Anglii. W każdym razie niektóre stowarzyszenia wytwórcze są to wzorowe zakłady przemysłowe, mogące współzawodniczyć dzielnie z pierwszorzędnemi firmami angielskiemi. Dodajmy wreszcie 120 zakładów, gdzie istnieje udział w dochodach, przyczem pracujący staje się współwłaścicielem. Niezależnie istnieje jeszcze tak zwany *gain-sharing* — udział w zyskach, ale o tem pomówimy w innym liście, gdy się ukaże koniec cennego dzieła Schlossa, wydawanego przez ministeryum pracy. Zjazd tegoroczny, na który przybyli przedstawiciele ze wszystkich krajów europejskich, postanowił utworzyć „Wszechświatowy związek kooperacyjny“ w celu wspólnego porozumiewania się. Greening, stary towarzysz Kingsley'a, Jones, uczeń Owena, Holyoake i wogóle „stara gwardya“ prowadziła rej. Pokolenie starsze ma jeszcze żywą wiarę w przyszłość ruchu, w jego odradzającą siłę, pamięta wszystkie porażki i następstwa Odrodzenia i dlatego ono właśnie do dziś dnia pozostało w pierwszych szeregach. Holyoake zaznaczył, że ruch kooperacyjny przybiera w każdym kraju inny wyraz; podczas gdy w Niemczech i Włoszech rozwijają się stowarzyszenia kredytowe, we Francyi zaś usiłowania skierowane są ku wzmocnieniu towarzystw współdzielczych wytworczych, potęga kooperacyi angielskiej tkwi w stowarzyszeniach spożywczych. Stan ten kooperacyi jest zrozumiałym; we Włoszech i w Niemczech (jakkolwiek z różnych przyczyn), jest ona w rękach upadających rzemiosł lub też drobnego mieszczaństwa. We Francyi rzecznikami kooperacyi są *tylko* utopiści, podczas gdy wyrobione poczucie siły synów Albionu, usunięte na chwilę od wytwarzania, starało się uchwycić w swe ręce *obieg* bogactw, aby potem, zdobywszy już sieć cyrkulacyi wytworów, przejść do wytwarzania. Właśnie teraz przejdziemy tu w Anglii do nowego okresu w życiu stowarzyszeń współdzielczych, dowodem czego jest zajęcie się związków zawodowych kooperacyą. Nie ulega przytem wątpliwości, że nowe ciała samorządu przerzucą się z całą energią na tę drogę „samopomocy społecznej.“

Pozostaje nam wspomnieć o tegorocznych naradach *British Association.* Były one skromne, bez rozgłosu. Zjazd odbył się w Ipswich, starej i cichej mieścinie. Wszystkie niemal sekcye najwyższej akademii naukowej zajęte były bądź szczegółami, bądź też zastosowaniem nauki do praktyki życiowej. Nawet namiętne spory o rolnictwie dodrowadziły tylko do wniosku o konieczności wykształcenia dla ziemian, którzy w Anglii jak i wszędzie mają skłonności zacofańców. Kilka innych rozpraw z dziedziny społecznej, a szczególnie o ruchu ludności, streścimy w liście przyszłym, gdy zdamy sprawę z nowego dzieła Giffina o pracy i płacy w królestwie zjednoczonem.

W. Nadolski.

TWARDY CHLEB.

Stały mieszkaniec miasta do nieodłącznych potrzeb codziennych zalicza w pismach drobne wiadomości bieżące. Tam jest „nerw życia“ brukowego, każda najobojętniejsza pogłoska lub zmyślenie, każdy drobny fakcik z ulicy, ze świata towarzyskiego, z dziedziny przemysłowo-handlowej, artystycznej więcej go interesuje, niż pierwszy lepszy romans w dodatku gazety lub tygodnika. Dla mnie po za tak zwanym tekstem *Kuryera,* szczególnie ciekawy jest dział drobnych ogłoszeń, zwłaszcza pod rubryką „Nauka i wychowanie,“ tudzież „Posady i prace.“ Tutaj tętni życie rzeczywiste, jego potrzeby bez żadnych osłonek, tu częstokroć, w parowierszowych doniesieniach, można widzieć obraz warunków naszego bytu, zaofiarowywanie pracy za bezcen, rozpaczliwe wołanie ludzi „uzdolnionych“ o „jakiekolwiek zajęcie za mieszkanie lub stół.“

Chwila obecna jest tym okresem najciekawszym, gdy podaż i popyt wielce się ożywiły z otwarciem domów i szkół, z przybyciem znacznej liczby młodzieży, zamożnych mieszkańców wiejskich lub... europejskich, którzy po kilkomiesięcznej wędrówce po świecie albo doglądaniu spraw na roli przybywają do miasta na słotną jesień i wesołą zimę. Długie kolumny biur „kaucyonowanych“ w porządku alfabetycznym wystawiły na rynek hurtownie nauczycieli, nauczycielki, bony, guwernerów „wszelkiej narodowości,“ wyraziły gotowość sprowadzania cudzoziemek na każde zawołanie. Dalej pojedyncze kandydatki do pracy na polu pedagogicznem z „wyższymi patentami,“ „gimnazistki rutynowane,“ znające języki, metody poglądowe, rysunki, ze śpiewem, muzyką, dobrą konwersacyą. Obok tego jaskrawo się zaznacza dział poszukiwania pracowników: „Potrzebna nauczycielka z wykształceniem wyższem, muzyką, śpiewem, francuskim, niemieckim, matematyką, do trojga dzieci, za 8—10 rs. miesięcznie.“ Czyż przeglądając przez pewien czas takie ogłoszenia, nie można sobie jasno przedstawić warunków bytu w tej dziedzinie pracy? Gdy obok wielkiej podaży sił nauczycielskich widzę ogłaszane w pismach coraz nowe szeregi pracownic ze świeżo zdobytem świadectwem, dziwny niepokój ogarnia mię na myśl o ich doli i mozolnych zabiegach.

Kilka szczegółów, charakteryzujących warunki bytu tych rzesz, podała w *Kuryerze warsz.* p. Julia Unszlichtówna. Oto rachunek skromnych potrzeb nauczycielki: mieszkanie miesięcznie rs. 8, t. zw. „życie“ rs. 20, ubranie 8, wydatki nieprzewidziane 4, książki pedagogiczne 3, razem rs. 43 miesięcznie, czyli 516 rocznie. Przeważna liczba tych pracownic dźwiga na sobie uciążliwe obowiązki rodzinne, przy których nie zawsze może zarobić na opędzenie potrzeb najpilniejszych. „Płaca nauczycielek — powiada p. U. — nie jest unormowana, nie podlega żadnym regułom, zależy od zamożności rodziców, od kwalifikacyi pracownicy, od tego, czy jest ona w modzie, czy ma stosunki itd.“ Przeciętna norma, to 10 rs. miesięcznie za godzinę pracy codziennej. Są wszakże i takie, które pobierają po 12, 15, 18, 20, 25 rs. miesięcznie, a nawet po 2 rs. za godzinę. To wszakże nadzwyczaj rzadkie wyjątki; większość otrzymuje po 8, 6, 5, a nawet 3 rs., o czem świadczą te same ogłoszenia, o których mówiliśmy przed chwilą. Gdyby wziąć przeciętnie 10 rs. płacy miesięcznej za 5, 6 godzin pracy, dochody nauczycielki sięgałyby 600—720 rs. rocznie, tj. tyle, co średniego urzędnika kolei, banku lub innej instytucyi, pracującego 6—8 godzin dziennie na utrzymanie rodziny. Taki jednak zarobek rzadko kiedy się zdarza. P. Unszlichtówna oblicza go średnio 400—500 rs. Ale i to są jeszcze sumy wątpliwe i chyba przechodzą przez kaletę szczęśliwszych. Dochody bowiem zarówno pracownic, jak i pracowników tej dziedziny, są bardzo niestałe. „Gdy tylko nastanie wiosna, a dzieci uczą się prywatnie — lekcye przerywają się, bo hygiena przedewszystkiem. Najpóźniej w połowie czerwca rodzice wyjeżdżają na wieś, a dla równości lekcye ustają już 1-go czerwca. Dzieciom zdrowiej na wsi, więc powrót ociąga się do 1-go października. Niekiedy znowu bez względu na hygienę, która, bądź co bądź, powinna pierwsze zajmować miejsce, nie wpływając na pokrzywdzenie nauczycielki, tylko z powodu porządków w domu lub tysiącznych innych drobnostek, lekcye się opóźniają.“ Gorzej przy opłacie, pobieranej nie miesięcznie, lecz za godziny. Gdy dziecko lekcyę opuści nie z winy swej przewodniczki umysłowej, jej się to w rachunku odlicza. Bywają i takie wypadki, że umowę, zawartą przed wakacyami, zrywa się na kilka dni przed oznaczonym terminem rozpoczęcia lekcyi, niby pod pozorem oddania dziecka na pensyę. Tym sposobem rok szkolny i okres pracy zarobkowej wynosi 8 miesięcy, a więc przez ten czas trzeba zarobić tyle, iżby wystarczyło i na czteromiesięczne wakacye przymusowe.

W obecnych warunkach nigdy pracy zanadto nie jest i każdy chętnie ją przyjmie, chociażby czuł, że ona prędko siły jego zrujnuje. Nauczycielka również nie odrzuca sposobności przyjęcia lekcyi (z wyjątkiem chyba bardzo „renomowanych“), więc ofiarowując tanio swą pracę, gotowa jest zaprządz się do niej nawet na 10 godzin dziennie. Jest tu wszakże pewna okoliczność, o której p. Unszlichtówna wcale nie wspomniała, a przecież ona odgrywa ważną rolę w warunkach bytu pracownic i pracowników na polu pedagogicznem. Wypadkiem nieprzewidzianym, a raczej takim, który należy zawsze przewidywać, jest częstokroć brak lekcyj lub nagłe ich cofanie z różnych powodów, najczęściej z niezadowolenia rodziców, wreszcie bezterminowa zaległość w wypłacie należności, niestety, zjawisko dość powszednie. Z tych powodów nauczycielka, czy nauczyciel, nie mogą nigdy obliczyć swego budżetu, bo gdy jednego miesiąca dochód ich wynosi 60—80 rs., drugiego może nieraz spaść do 20-tu. Nie zapominajmy przytem, że na tak względnie wysokie zarobki mogą się zdobyć jednostki zdolne i sumienne. Większość w chwilach najpomyślniejszych zarabia najwyżej po 20 rs. miesięcznie.

P. Unszlichtówna podaje sposób uregulowania warunków między nauczycielkami a rodzicami: 1) Opłata według umowy. 2) Rok szkolny liczy się od 1 września do 1 lipca i za taki przeciąg czasu należy opłacać pracownicę, bez względu na to, że lekcye zaczynają się później a kończą wcześniej. 3) W razie choroby dziecka lub nauczycielki tudzież z powodu dni świątecznych nie wytrąca się za lekcye. 4) Zmieniając nauczycielkę w ciągu roku, należy płacić jej za miesiąc naprzód. 5) Zamawiać trzeba godziny lekcyi na rok następny w końcu roku szkolnego, a w razie zmian zawiadamia się nauczycielkę najmniej na trzy tygodnie przed terminem.

Wniosek całkiem słuszny. Niepodobna jednak marzyć, ażeby się dał zupełnie wprowadzić w czyn i żeby znacznie poprawił warunki bytu pracownic na polu pedagogicznem. Jak rzekliśmy, większość nie należy do zdolnych, odpowiednio przysposobionych. Dają lekcye, bo nie mają na razie nic innego do roboty; gdyby dostały przepisywanie, tłomaczenie jakiej powieści, o co bardzo często się dopominają, miejsce kasyerki, buchhalterki w redakcyi lub pierw-

szym lepszym sklepie, porzuciłyby na pewno pedagogię. To też ich robota automatyczna zazwyczaj bywa bezpłodną; dzieci zarażają się tą straszną apatyą, która płynie z ust, oczu, ruchów, wyrazu twarzy nauczycielki (lub nauczyciela), dostaje się do systemu wykładu. Jednostki takie nie mają daru, ułatwiającego nabycie wiedzy, przytem ciągła troska, zabiegi, niepewność, niepowodzenie i uciążliwa praca tak łamią wszelką energię i wolę, że pomimo najszczerszych chęci stają się one częstokroć niesumiennemi. Więc na jeden temat, już ułatwiony, idą zadania, ćwiczenia i t. d. „Dziś poprostu nie mam siły wyłożyć coś nowego w dalszym ciągu, rozruszać i pobudzić umysł dziecka; jutro odpowiednio się przygotuję, a teraz niech malec coś powtórzy, napisze, rozwiąże zadanie łatwiejsze.“ Tak upływa dzień po dniu, tydzień po tygodniu. Uczeń nie robi postępów, w umyśle jego porastają chwasty senności, lenistwa, w końcu niedbalstwa. Kierownik, czy kierowniczka, spostrzegają wreszcie z przerażeniem, że już za późno je wyplenić, że trzeba byłoby nadzwyczajnego natężenia sił i staranności, na jakie ich nie stać. Rodzice, zauważywszy brak postępu, zmieniają nauczyciela. Dzieje się to parę razy do roku, a ponieważ każdy nowy kierownik, czy kierowniczka dziecięcego umysłu ma swoją własną metodę i zaczyna na nowo, więc dziecko częstokroć przez długi czas niczego się nauczyć nie może.

Nie zawsze zatem trzeba rodziców obwiniać o wybredność lub kaprysy i fantazyę, bo, niestety, w wielu razach mają oni słuszność, chociaż znowu częstem przebieraniem przynoszą szkodę swym własnym dzieciom. Podejrzliwość ojców i matek sięga czasem jednak zbyt daleko; nie mając pojęcia o sposobach wykładu, siedzą oni pilnie podczas lekcyi, czują się w obowiązku udzielać swych wskazówek, krępują zbyt nerwowe nauczycielki, a nawet nietaktownem wtrącaniem się lub głośną krytyką w kółku rodzinnem odzierają je z niezbędnej powagi wobec uczniów. Cierpią więc na tem i kierowniczki zdolne, a nawet dlatego, ażeby nie stracić twardego kawałka chleba, przełkną nieraz w milczeniu i poczęstunek ubliżający i czasem zniewagę. Częściej tego doznają nauczycielki na tak zwanych *demi place'ach*, a najbardziej na prowincyi. O ile bowiem społeczeństwo wielkiego miasta łatwiej zapomina o nierówności stanowisk, pociąga wszelkie żywioły do wspólnego życia duchowego i zewnętrznego na gruncie towarzyskim, o tyle znowu mieszkańcy zapadłych kątów zachowali skrupulatnie wszelkie przesądy społeczne, wypielęgnowali i zamrozili w swych mózgach szczątki mumutoryi i średniowieczczyzny. A im grubsze warstwy pleśni obsiadają ich umysły, im w większych mrokach one są spowite, tem brutalniej występuje pogarda, bryzgająca w twarz tym wszystkim, którym środki istnienia daje nie matka natura, nie dywidenda lub kupony, lecz ciężka praca osobista. Do takiego społeczeństwa dostają się nauczycielki i bywają traktowane, jako... służba domowa. Ale czyż na tem koniec? Ileż to razy wezwanie do przyjęcia lekcyi na wsi było tylko prostą siecią, zastawioną przez różnych wdowców lub nawet wyuzdanych żonkosiów, którym zbyt tęgie ramiona parobków odbierają odwagę do folgowania zmysłom śród najemnic wiejskich. Nauczycielki, doznawszy zamachów bezczeszczących, znalazłszy na miejscu zupełnie inne warunki i otoczenie, niż obiecywano w umowie, uciekają czasem lub za swą odporność są wyprawiane zimą w letniej odzieży... fornalkami albo furmankami najętemi. Niedawno spotkałem jedną z tych ofiar zawodu. — Co pani tu robi? — Uciekłam, bo mi ciągle kazano pamiętać o mojem *psiem* prawie, o moich *psich* obowiązkach.“ Tak bywają traktowane nauczycielki w zaściankach. Zapewne, nie są to przykłady powszechne, ale znowu nie tak rzadkie, żeby je można było lekceważyć.

Więc nietylko o podniesieniu ich dobrobytu, ale i godności trzeba byłoby pomyśleć. Najważniejszą przyczyną, szkodliwą pod każdym względem, jest przepełnienie dziedziny pedagogicznej jednostkami niepowołanemi. Trudno marzyć o wytworzeniu „talentów etycznych,“ jakich żąda Björnson-Björnstjerne, ale znowu niepodobna popierać tych wielkich rzesz niedbałych rzemieślników na polu nauczycielskiem. Każda uboga panna po skończeniu pensyi lub innego zakładu, każda jako tako wykształcona powierzchownie w domu, myśli o uczeniu innych, po to, ażeby się nałykawszy goryczy i łez, po paru latach zmarnowanych szukać nowego zawodu. Nie będę tu wskazywał właściwych dróg pracy naszym kobietom, bo o tem mówiłem już przed kilku miesiącami. Chcę tylko zaznaczyć, że niwa pedagogiczna wymaga oczyszczenia z perzu i chwastów, że pomimo jej pozornego przepełnienia, daje się odczuwać brak nauczycieli i nauczycielek, ale prawdziwie zdolnych. Niech więc tylko tacy spieszą do tego zawodu, którzy czują odpowiednie zdolności i powołanie.

Pomimo że jest to chleb zbyt twardy i niepewny, najmniej u nas dotychczas myślano szczerze o przyszłości pracowników pedagogicznych. Tak zwane „Schronienie“ w Warszawie nie może zaspokoić nawet drobnej cząstki istotnych potrzeb w tej mierze. Ma ono miejsce na skromną gromadkę inwalidek i to zdaje się przyjmuje tylko takie, które przekroczyły czy dociera ją do piątej dziesiątki lat wieku, podczas gdy ta ciężka praca nieraz wyczerpuje siły całkowicie przed rokiem czterdziestym.

Obecnie ważny krok naprzód uczyniło miłosierdzie publiczne w Piotrkowie. P. Łuczycka złożyła rs. 100 jako początek funduszu na wsparcie nauczycielek i nauczycieli prywatnych. Dzięki temu, miejscowe Towarzystwo dobroczynności otworzyło nowy dział ze stosownym programem. Gdy przy pomocy ogółu fundusz dojdzie do odpowiednich rozmiarów, będzie służył do wspierania pracowników na niwie pedagogicznej, udzielania im pożyczek. W pierwszym wypadku mają być używane odsetki od kapitału. Wsparcia bezzwrotne otrzymają tylko ci, którzy się znajdują w ciężkich warunkach materyalnych skutkiem wieku, stargania sił, choroby itd. Pożyczkobiorca składa 6% od sumy otrzymanej, na powiększenie funduszu. Pierwszeństwo mają wnoszący stałe pewne składki.

Dzieło zaczęte; dalszy jego rozwój spoczywa na zabiegach Towarzystwa, to jest umiejętności uderzania do niewyczerpanej skarbnicy — miłosierdzia publicznego. Za przykładem Piotrkowa powinny pójść inne miasta. Skoro dobroczynność jest u nas jedyną deską zbawienia, to niechże jej działalność będzie pożyteczną; niech o potrzebie stworzenia funduszów nauczycielskich dowie się jak najszerszy ogół, a wtedy ci, którzy są w kłopocie, co mają uczynić z majątkiem i obdarzają nim instytucye zasobne lub bezpłodne, może zechcą swoją filantropią wysłać ciernistą drogi pracowników pedagogii. Wszak oni nieraz rozbudzeniem energii i zdolności umysłowych ułatwiają swym uczniom obfite zgarnianie dóbr ziemskich.

Zenon Piętkiewicz.

LIBERUM VETO.

Szczególna książka.

Niema, nie było i prawdopodobnie nie będzie autora, któryby nie nosił w zanadrzu większego lub mniejszego kamienia na krytyków. Zwłaszcza pisarze młodsi, którzy dopiero skosztowali „krzyczącej — według nich — niesprawiedliwości Zoilów,“ są tak obładowani tymi pociskami, że zaledwie ruszać się mogą. Redakcye wiedzą, że przynajmniej czwarta część odbieranych przez nie artykułów dotyczy sprawy: „jaką jest nasza krytyka i jaką być powinna.“ Już sama powszedniość skargi i częstość wnoszenia jej przed „sąd światłej opinii publicznej,“ jest dostatecznie zniechęcającym powodem do zabierania głosu w tym przedmiocie. Co — i ja mam pisać, jaką jest nasza krytyka i jaką być powinna? Z myśli tej wylatuje tysiąc dreszczów. A jednakże owa krytyka rzeczywiście używa często fałszywych miar i to od czasu do czasu powiedzieć jej trzeba. Nadewszystko zaś trzeba jej często przypominać, że ona nie jest powołana do rozdawnictwa recept twórczości, lecz do tłomaczenia jej objawów. Człowiek, który coś stwarza, żądając, ażeby krytyk starał się go zrozumieć i nie narzucał mu swoich wymagań, nie grzeszy bynajmniej zarozumiałością, lecz strzeże tego swojego prawa, które służy najskromniejszej trawce i przez nikogo w niej nie jest gwałconem. Bo pomyślmy tylko, jakże serdecznie uśmiałaby się ta trawka, gdyby do niej rzekł jakiś krytyk, a ona go zrozumieć mogła:

— Cały twój żywot nie ma wielkiego sensu. Istniejesz przez lato, kiedy bydło znajduje dosyć innej paszy, a giniesz na zimę, kiedy byłabyś dla niego najpożyteczniejszą. Nadto powinnabyś przybrać barwę niebieską, której w naturze jest za mało, podczas gdy zieloności za wiele. Wreszcie dlaczego tak bezrozumnie opijasz się wodą, i to mdłą wodą deszczową? Czemu nie wymagasz, ażeby cię polewano winem?

Naturalnie trawa odpowiedziałaby: Mój mądry panie, schowaj swój rozumek dla siebie, bo on nikomu i niczemu przydać się nie może. Ja jestem taką, jaka jestem, dlatego, że taką jestem, a ty powinieneś starać się tylko o pojęcie i wytłomaczenie, jaką ja jestem.

Jeżeli do takiej odpowiedzi ma prawo mizerna trawa, to chyba ma je również człowiek i jego twory. Może on również zawołać do krytyka:

— Co ty mi tam, obywatelu, prawisz, jak ja według ciebie myśleć i czuć powinienem! Lepiej postaraj się o zrozumienie, jak ja myślę i czuję. Może z tego badania wypadnie, że jestem umysłem niższego rzędu, niż tysiące innych, ale to mi wcale nie odbiera racyi istnienia i nie dowodzi, że muszę być jednym z nich lub nie być. Żółw jest organizmem niewątpliwie niższym od konia, a przecież nie znalazł się dotychczas taki głupiec, któryby przekonywał żółwia, że powinien być koniem.

To prawo umysłów wszystkich krytyka zamieniła na przywilej znakomitych. Pierwsze uczy ona i karci, drugie przenika i chwali. Z tej metody zrodziły się dwie ostateczności: albo w utworach pisarzów zwykłych wszystko poddajemy korekcie i naganie, albo w pracach autorów genialnych wszystko wydaje nam się wielkiem, mądrem i wspaniałem. Najwyższe miejsce śród tych ostatnich zajmuje Shakespeare. Krytycy usiłują je tylko przeniknąć, pojąć właściwie i wydobyć z nich nigdy nieprzebrane skarby prawdy i piękna.

Nie zawiedzie się czytelnik, jeśli uwierzy temu zapewnieniu, że nie ma w historyi tak wielkiego dzieła ludzkiego, które-

by dorastało swą wartością pochwałom jego wielbicieli. Najpotężniejsze twory geniuszów są zawsze niższe od tej miary, jaką do nich przykładają bezwzględni ich czciciele. Nawet olbrzymy — i może najbardziej — korzystają w swej chwale z przesady i przecenienia. Ani Salomon nie jest tak mądrym, ani Dante tak czarodziejskim, ani Cervantes tak dowcipnym, ani Shakespeare tak niedościgniononym, jak głoszą ich kochankowie. Ale stanowi to także dowód genialności tych pisarzów, że oni wywołują taki fanatyzm.

Między wyznawcami zapamiętałego fanatyzmu dla Shakespeare'a stanął u nas człowiek, który z wiedzy swojej, pracy umysłowej, z zawodu zdawał się być daleko odsuniętym od pola poezyi i raczej stępionym we wrażliwości, ostudzonym w uczuciach, otrzeźwionym w rozumie, niż zdolnym do nadczułości i płomienistego zapału — znakomity chirurg, dr. W. Matlakowski. Rzeczywiście, był on dziwem natury, nie jedynym, bo podobną dwuosobowość przedstawiał słynny chirurg wiedeński. Bilroth, ale mimo to zagadkowym. Psychologicznie trudno pojąć, ażeby ta sama dusza mogła się oziębiać do takiego stopnia, jaki jest konieczny dla spokojnego wykonywania operacyj, targających swym widokiem najtęższe nerwy, i równocześnie tak się rozgrzewać wobec jakiejś formy architektonicznej lub poematu, że prawie topniała w tym ogniu. A jednakże taką duszę posiadał Matlakowski. „Gdy żyjąc w szpitalu — powiada on o sobie we wstępie do *Hamleta* — zbudzony w późną noc do chorego z krwotokiem, wracałem do swej klety z uszami pełnemi sapu i stęku, kaszlu i rzężenia, z oczami oślepłemi od rubinowej krwi, rzygającej z tętnicy na śnieżną bieliznę; gdym przynosił z sobą wlepiony w moje oczy jarzący, płomienny wzrok biedaka, któremu dusza z krwią uchodziła; gdym słyszał dolatujący z kaplicy błagalny chór ludzkiej mizeryi, w kornej postawie śpiewającej bizantyńskie *Kyrie* lub *Rorate coeli*, znajdowałem ukojenie w tym starym angliku (Shakespearze), w Jobie, w Jezajaszu, w Dantem.“

Możemy mu wierzyć, gdybyśmy nawet nie czytali jego pełnej uniesień książki o budownictwie Podhala, bo jednemu z utworów tego starego anglika, *Hamletowi*, poświęcił on pracę, jakiej ten dramat może nie ma w literaturze całego świata. Proszę zważyć: wstęp zawiera 461 stronic drobnego druku, a w nich przegląd i krytykę wszystkich ważniejszych dzieł o *Hamlecie*; dalej — całkowity tekst angielski, a obok wierny przekład polski; wreszcie drobiazgowy słownik do tego utworu, nakoniec objaśnienia encyklopedyczne, co razem wynosi przeszło 800 stronic. Dodać należy, że ogromną tę pracę wykonał gasnący suchotnik, który znaczną jej część musiał pisać ołówkiem w łóżku.

Ale bynajmniej nie dla wywołania zdziwień podsuwam uwadze czytelników tę szczególną pracę, lecz dla podniesienia wysokiej wartości jej wstępu. Rozumie się, u Matlakowskiego *Hamlet* „dosięga rubieży ludzkiej potęgi“ i ani nic dotychczas z nim się nie zrównało, ani nie zrówna. Wszystko w nim głębokie i wspaniałe. Jest to na niebie literatury słońce, którem można się tylko ogrzewać, oświecać, olśniewać i oślepiać, rozważać z nabożnem skupieniem ducha najdrobniejsze wyrazy, czcić lub podziwiać spójniki, a nawet znaki przestankowe, usprawiedliwiając zbyt wyraźne słabości z możliwą dla autora wyrozumiałością. Jakkolwiek Matlakowski włożył w swój historyczno-krytyczny wywód ogrom erudycyi, mozołu, badawczej przenikliwości, a w oryginalnem wytłomaczeniu postaci Hamleta widział główne swe zadanie i zasługę, my jednakże to jego badanie usuwamy na plan drugi. Co inni, poczynając od Goethego, napisali o *Hamlecie*, to obchodzi tylko specyalistę; jak go pojął i oświetlił Matlakowski, to należy do owej bałwochwalczej ekstazy, o której mówiłem, a która zawsze przecenia swój przedmiot. Dla nas z całej tej olbrzymiej pracy największą wartość posiada kilkadziesiąt stronic, obejmujących ogólne spostrzeżenia i myśli o literaturze, społeczeństwie, ruchu nowych prądów i życiu umysłowem. Wszedł na mównicę człowiek, który nie należał do żadnego bractwa, cechu, stronnictwa, nie uwiązł w żadnym szemacie, nie napełniał sobie ust żadną gwarą, a który dużo i głęboko myślał nad rozmaitemi zagadnieniami, który nadzwyczaj wrażliwie i silnie odczuwał zarówno lekkie podmuchy, jak gwałtowne wstrząśnienia. Czy nie warto go posłuchać? Ile razy otworzy swą duszę, ukaże w niej cenne perły. Bardzo często sądzi błędnie, często pewnych spraw należycie nie pojmuje, ale nawet jego błędy są jakieś miłe, niesprawiające ani wstrętu, ani przykrości. Zdaje się, że niepodobna byłoby z nim ostro walczyć; możnaby tylko, w wypadkach niezgody, ucałowawszy go serdecznie, powiedzieć: kochany marzycielu, mylisz się, tak nie jest...

Według Matlakowskiego, obecna literatura ugrzęzła w błocie, z którego powinna się wydobyć i nawrócić ku wielkim arcydziełom przeszłości. Francuzi, którzy długo przodowali światu, sieją teraz po nim zarazę. „Powieść tegoczesna stała się obrazem nie miłości, ale historyą popędu płciowego w jego zboczeniach. Bohaterowie i bohaterki, posiadacze bajecznych rent, udziałów fabrycznych, kopalnianych, kolejowych, właściciele wil i zamków, wolni od wszelkich trosk, prócz troski, co zrobić z pieniędzmi — topią nudę i zapełniają pustkę życiową za pomocą sztuk pięknych i rozpusty... W powieści prawie nie spotyka się kobiet czystych w rodzaju Desdemony lub Imogeny. Nastała doba wszeteczeństwa i........, zajaśniała jutrzenka dnia, by wreszcie bezwstyd chadzał i pysznił się, nie zaznając wstydu... W opisach szczegółowych odmalowano całą geografię skóry kobiecej i odzieży ją pokrywającej aż do najdrobniejszych okoliczności; rozebrano wpływy wszelkich skór, płci, śniadości, bieli, wydawanych woni, potów itp. na popęd, aż do kolorowych pończoch, podwiązek itd. Nie pominięto stanów fizyologicznych, które kobieta cywilizowana otacza tajemnicą... Rozebrano wszelkie, jakie dowcip tysiąca najdowcipniejszych umysłów zdołał wymyśleć, położenia, przygody, zdrady, podejścia, psikusy, zdarzające się w cudzołóstwie; opisano pożycia we dwoje, ale jałowo, w troje, w czworo na krzyż, poddano rozbiorowi wszelkie anodyny i *aphrodisiaca* upajających kwiatów, kolorowych kotar, mroku, światła jarzącego, kąpieli, skór pumy i niedźwiedzia, starych *valenciennes* i nowych koronek, zabłoconych pończoch, łóżkowej stęchlizny itd... Paryż stał się jedynym na świecie bodowcą nierządnicy smacznej, w wielkim stylu... Każdy rży do żony bliźniego swego“ — jak mówi Jeremiasz.

Jest to charakterystyka świetna i prawdziwa. Daje ona zarazem wyobrażenie o gorącym kolorycie stylu Matlakowskiego. Nasze życie umysłowe sądzi on surowo. „Płyciuteńka rzeczułka na mieliznach i odsypach mazurskiego piasku, niosąca urywki francuskiej beletrystyki, przekłady cudzoziemskich powieści, echa wydarzeń przygodnych, leniwo płynąca z dnia na dzień po przez dzienniki, nie może unieść wcale i obracać wielkich zadań nauki i literatury wielkiej ręki... Nauka nie ma u nas tradycyi; uprawa jej zawsze była miałką; a do tego od czasu do czasu zawierucha zrywała i tę cienką warstewkę. Książki poważne zalegają dno naszej rzeki umysłowej i jałowe sterczą.“ O języku naszym powiada: „Mnie to boli, gdy widzę, jak nieporuszanie wielkich, szerokich, światowych tematów, z obrębu nauki filozofii i wielkiej literatury wyjaławia i zubaża naszą literaturę... Co mnie przeraża w nowoczesnym naszym języku, to bezmierne nasiąknięcie wyrazami niesłowiańskiego źródła. To już nie kry, pływające zrzadka w wielkiej rzece rodzimej, to już struga cudzoziemska, płynąca słowiańskiem korytem ode dna do powierzchni. Największa krzywda dzieje się za pośrednictwem pism codziennych.“

Ale już czas zamknąć tę szczególną książkę, pełną mylnych twierdzeń i przesady, a jednocześnie głęboką, pouczającą i sympatyczną. Matlakowski przeceniając dramat Shakespeare'a, daje nam jedno z najznakomitszych nad nim studyów: sprowadzając wiele objawów umysłowych i procesów społecznych do niewłaściwych przyczyn, zalewa czytelnika falami prześlicznych rozmyślań; pisząc niepoprawnie i wprowadzając wyrazy obce lub niemożliwe (intelekt, światopogląd, nadział geniuszu), porywa czytelnika żarem swej wymowy i trafnie wskazuje kalectwa i choroby naszego języka. Pomimo wszystko, cokolwiekby przeciw jego wywodom i twierdzeniom szczegółowym powiedzieć można, praca ta jest pięknem i wyjątkowem zjawiskiem w naszej literaturze krytycznej. Nie wiem, kto u nas kreśli obrazy na tak szerokiem tle, kto je obmyśla tak pracowicie i rozumnie, a nadewszystko kto je tak maluje krwią swego serca. Ach, jeszcze raz zawołać trzeba: co za szkoda tego dzielnego myśliciela, wrażliwego artysty i szlachetnego człowieka.

Pasel Prawdy.

W DALI.

Radom. Kilkakrotnie pogrzebana sprawa tramwajów odżyła znowu. Opracowany dawniej projekt przerobiono według wymagań i z planem przedstawiono obecnie władzy do zatwierdzenia. Kierunek linii wytknięto od skrzyżowania ulic Wołowej i Starokrakowskiej przez Lubelską i Skaryszewską do podjazdu kolejowego i stacyi osobowej drogi żelaznej. — Na dalszym planie stoi projekt oświetlenia miasta elektrycznością. Ale zanim to nastąpi, należałoby znieść ciemne lampki naftowe. Na ulepszenie pod tym względem wystarczyłoby chyba środków. Corocznie bowiem wpływy kasy miejskiej wynoszą 80,000 rs. z procentów od kapitału 200,000 rs., złożonego w Banku państwa i na domach miejskich, następnie z dochodów rogatkowych, patentów, nieruchomości miejskich, czynszów dzierżawnych, podatków i innych źródeł. Z sumy 80,000 rs. po zaspokojeniu wszystkich pilnych potrzeb pozostaje jeszcze 10,000 rs. Z tego więc interesowani mieszkańcy miasta doradzają zaczerpnąć środków na oświetlenie elektryczne. — Ruch budowlany w Radomiu ciągle wzrasta. Ogółem miasto dziś już posiada 1,100 domów, z których 100 wzniesiono w ciągu czterech lat ostatnich.

Suwałki. Z sum wyznaczonych przez skarb na budowę kolei drugorzędnych, w Królestwie Polskiem najwięcej r. p. skorzysta gub. suwalska, w której rozpoczęto już studya następujących linii: Od Grodna, odległego o pięć wiorst od granic gub. suwalskiej, do Augustowa długości około wiorst 55-iu. Droga do Grodna, przejdzie przez osadę Lipsk i skieruje się do Augustowa przez wązki przesmyk pomiędzy jeziorami Augustowskiem i Białem, gdzie zbudowany będzie most na kanale Augustowskim. Druga pójdzie od granic gubernii wileńskiej nad brzegiem Niemna około Olity, gdzie kończy się obecnie odnoga kolei petersburskiej Orany—Patarańcy do Suwałk i mieć będzie około 80-iu wiorst. Prawdopodobnie studya wykażą możność połączenia koleją miasta Sejn, gdyż wielkie jeziora czynią kierunek zygzakowatym i zwracają linię w bliskości tego miasta. Trzecia wreszcie ma łączyć przez gub. suwalską Kowno z Białymstokiem. Tu, zależnie od studyów, kie-

runek może być dwojaki przy jednakowej odległości: albo nadniemeński z lewej strony Niemna od Grodna przez Olitę, Preny do Kowna lub też od stacyi Mawrócie odnogi wierzbołowsko-kowieńskiej przez Maryampol, Kalwaryę, Suwałki, Augustów do Grajewa lub Osowca na odnodze białostocko-grajewskiej. Studya skończone jeszcze będą przed zimą, a budowa tych linii ma się rozpocząć już na wiosnę.

Kijow. Cukrownicy naddnieprzańscy starają się o podział wszystkich cukrowni na trzy kategorye: gospodarskie, tj. przerabiające buraki z własnej plantacyi, półgospodarskie, korzystające z buraków własnych plantacyi i sąsiednich; wreszcie przemysłowe, przerabiające tylko buraki kupne. Cukrownie gospodarskie mają przy klasyfikacyi tej wypuszczać cukru na sprzedaż rynków wewnętrznych o 10% więcej od przemysłowych, półgospodarskie zaś o 5%.—Pisma petersburskie donoszą, że ze względu na zamierzone wprowadzenie instytucyi naczelników ziemskich w guberniach południowo-zachodnich, ministeryum spraw wewnętrznych poleciło nadsyłać sobie wykazy gmin i gromad wiejskich w tych guberniach, statystykę ludności męskiej i podziału ziemi, wreszcie wykazać odległości pomiędzy wsiami i miastami. — *Kijewlanin* twierdzi, iż plantatorowie poniosą straty w r. b. w gub. kijowskiej i podolskiej skutkiem suszy. Przedewszystkiem buraki, po wydobyciu z ziemi, tracą na wadze od 5 do 10%. Co do zawartości cukru, to w wielu plantacyach nie mają one więcej nad 13%, w gub. podolskiej zaś 16%. Robotnicy, płatni od morga za kopanie, wiele tracą, gdyż skutkiem suszy cztery kobiety zaledwie mogą nakopać wóz 60 pudowy, gdy zwykle potrzeba było dwóch kobiet. Plantacye ogółem zajmują w całem państwie 320,126 dziesięcin, a o 11,844 więcej niż w roku 1894. Zupełnie zniszczonych jest 723 dzies., przesiewano 10,212 dzies.; zmniejszono plantowanie buraków w gub. besarabskiej, woroneżkiej, orłowskiej, połtawskiej, tulskiej, czernihowskiej, warszawskiej (2,032), kaliskiej (614), kieleckiej (72), łomżyńskiej (209), piotrkowskiej (150), płockiej (1,243), siedleckiej (262). Zwiększono w gub. kijowskiej (8,604). Wogóle stan plantacyi jest lepszy od zeszłorocznego. W gub. kijowskiej, pomimo taniości zboża ceny ziemi wciąż się trzymają. Dziesięcina w pow. skwirskim np. sprzedawaną jest od rs. 175 do 180, z powodu iż włościanie wciąż kupują ziemię za własne pieniądze, lub też przy pomocy banku swego. Dzierżawcy ostatecznie zrujnowani skutkiem teraźniejszych cen zboża. Długi w majątkach prywatnych wzrosły od roku przeszłego w stosunku 40 do 50% wartości ziemi; jedynym jeszcze ratunkiem jest oddawanie w dzierżawę ziemi chłopom, którzy, obrabiając ją własnemi rękami, potrafią ciągnąć zyski.

Petersburg. Niedawno prof. Mendelejew przywiózł wykonane w Londynie wzory normalnego funta i arszyna. Wobec tego ministeryum skarbu przystąpiło do utworzenia odpowiednich instytucyi kontrolujących.—*Nowoje Wremia* podaje następujące szczegóły o nienormalnych warunkach taryfowych. Pud ładunku, wysłany z Noworosyjska nad morzem Czarnem do Moskwy kolejami w najkrótszym kierunku linią Władykaukasko-Kozłowsko-Woronesko-Rostowsko-Riazańską i Moskiewsko-Kazańską kosztuje rs. 1 kop. 25, jeżeli zaś taką samą ilość towaru wysłać do Moskwy trzy razy dłuższą drogą z Batumu, skąd statki zabierają go z powrotem do Noworosyjska (!) i przez Sewastopol przywożą do Odesy, a stąd już kolejami Południowo-Zachodniemi do Kijowa, Kijowsko-Woroneską do Kurska i Moskiewsko-Kurską na miejsce do Moskwy koleją, kosztuje tylko kop. 40.—*Grażdanin* dowiaduje się, że konsulowie rosyjscy, których działalność ogranicza się głównie do opieki nad handlem Rosyi z zagranicą, mają przejść pod zwierzchnictwo ministeryum skarbu; dotychczas bowiem, gdy znajdowali się pod ministeryum spraw zagranicznych, udzielanie im wskazówek postępowania w sprawach handlowych było połączone z trudnościami, wynikającemi z braku bezpośrednich stosunków.

Odesa. Oddawna niebywały urodzaj winogron na Krymie i w innych miejscowościach południowo-wschodniej części państwa, przyczynił się do bajecznej taniości tego owocu. W Odesie pud dobrych winogron kosztuje 14 kop! — Kurator okręgu naukowego, Ch. Solskij, stara się o otwarcie w Odesie uniwersytetu dla kobiet. Fundusz na ten cel powstaje z poboru corocznego od uczenic gimnazyów żeńskich w okręgu (po 1—2 rs.). Tym sposobem zebrane środki i powiększone ofiarnością publiczną dadzą podstawę istnieniu niezbędnego zakładu. Wiadomość tę, jako stanowczą i zupełnie pewną, podaje *Odesk. listok.* — Powstaje w mieście filia depesz handlowych Agencyi telegraficznej rosyjskiej. Stąd rozsyłane będą telegramy z kursami i biuletynami handlowymi całego świata. Filie takie będą otwarte również w innych miastach.— Postanowiono w Odesie stworzyć kursy dla maszynistów na statkach parowych morskich i rzecznych: 1) podczas nauki słuchacze nie mogą być powoływani do wojska, aż do 24-go roku życia; 2) ci, którzy otrzymali stopień maszynisty, są uwolnieni od służby wojskowej i zaliczają się do zapasu floty; 3) którzy otrzymali stopień maszynisty i przesłużyli 10 lat na okręcie, korzystają z przywilejów obywatela honorowego. Na kursy mogą być przyjmowani tylko poddani rosyjscy różnych wyznań z ograniczeniem dla żydów do 10%. Rok szkolny trwa od d. 13 go września do d. 13-go kwietnia. Przedmioty specyalne wykładają praktycy. Ci, którzy ukończyli kurs i odbyli praktykę roczną w zakładach portowych i półroczną na statku parowym, otrzymają stopień maszynisty.

SPRAWY EKONOMICZNE

GOSPODARSTWO ARTELOWE.

I.

W chwili, gdy się dużo mówi o sposobach wzmocnienia rolnictwa, podaje się niezliczone mnóstwo projektów, gdy właściciele ziemscy, zbankrutowani skutkiem nieudolnego gospodarowania, uczą innych, dają im zbawienne rady, gdy wreszcie lud nasz wyzuwa się coraz bardziej z ziemi, działkuje ją, idzie na zarobek lub emigruje, w dalekim zakątku stepowym gub. chersońskiej (pow. aleksandryjskim) włościanie bez długich projektów, sporów i narad, przystąpili w czynie do pracy zbiorowej na zasadach artelowych. Forma ta w głębi Rosyi właściwie nie jest nową; w tym wszakże wypadku uderza ona niezwykłością pod względem etycznym i ekonomicznym tak daleco, iż warto temu zjawisku przyjrzeć się bliżej.

„Powinniśmy żyć w zgodzie, miłości i braterstwie—mówi jeden z paragrafów—jak przystało na prawdziwych chrześcian; bo gdzie miłość, tam i Bóg, tam i szczęście, a gdzie jej niema, tam wieczna niedola..." Przekonaliśmy się, że cierpimy biedę, bo niema między nami miłości, a dużo gniewu i że tylko bratnia łączność dla wspólnej pracy w zgodzie serdecznej może nam dopomódz do lepszego urządzenia gospodarstwa i życia." „Jeżeli kto z nas będzie leniwym do pracy lub kłótliwym, jeżeli się nie poprawi po pierwszej wymówce arteli, będzie z niej wykluczony, bo przy pijaństwie, lenistwie i zwadach niemożliwa jest wspólna bratnia praca."

Na takich podstawach etycznych ugruntowana jest spółka ekonomiczna, pobudka zaś materyalna wynikła z niskich cen zboża, utrudniających prowadzenie gospodarstwa siłami pojedynczemi. W r. b. 57-miu włościan dwu wsi, Adżamka i Fedmar, zawarło umowę notaryalną, na której mocy utworzono kilka grup artelowych. Każda z nich powinna się składać najmniej z 4—5 gospodarzy. „Wszystkie grunty nasze — mówi artykuł 1 szy — łączą się w jedną całość i są w nierozdzielnem wspólnem posiadaniu tudzież użytkowaniu arteli, tj. orka, zasiew i sprzęt odbywają się na całkowitej przestrzeni, bez względu do kogo należą działy tych gruntów, jak gdyby to była ziemia jednego gospodarza; a gospodarzem tym całej naszej ziemi jest artel i nikt za nią nie może osobno uprawiać i ukrywać swoich gruntów." W ten sposób połączona przestrzeń dzieli się na równe części pomiędzy uczestników, a gdy przedtem którykolwiek z nich posiadał mniej, niż po podziale, wówczas dopłaca arteli ze swej części ³/₄ wartości produkcyi (jeżeli jest czterech uczestników), kto zaś miał więcej, ten otrzymuje od arteli ³/₄ wartości produkcyi, oprócz swojej całkowitej części. Za zgodą wszystkich uczestników należy wybrać jedną siedzibę, najlepiej nadającą się do gospodarstwa wspólnego i tam umieścić cały inwentarz martwy i żywy. Nabyte przez artel grunty, wzniesione wspólnie budowle, wszelki inwentarz, znajdują się we wspólnem władaniu i użytkowaniu. Wszystko, co jest potrzebnem, nabywa grupa gospodarzy łącznie, grunty zaś i droższe maszyny mogą być kupowane razem z innemi artelami. Kto na ogólny użytek wnosi jakikolwiek majątek ruchomy, otrzymuje ³/₄ wartości (gdy jest czterech uczestników). Za konia np., ocenionego na 40 rs., otrzymuje 30, bo sam na zakup jego powinien byłby dać 10 rs., a przytem będzie z niego korzystał.

Majątek danej grupy jest ubezpieczony w imieniu arteli na jej rachunek. Strzeżenie głównej siedziby gospodarstwa i robota jest wspólna i kolejna; po jej zaś odbyciu każdy dowolnie rozporządza swoim czasem. Nadto, cała artel może zarabiać zbiorowo na korzyść gospodarstwa ogólnego, jeżeli znajdzie się ku temu możność, tudzież jeżeli nastąpi porozumienie pomiędzy wszystkimi członkami. Cały zbiór zboża i innych produktów składa się do jednej zagrody i tam się odbywa młócenie, poczem podział plonów w sposób następujący: przedewszystkiem pozostawia się zboże na zasiew oraz zapas na wypadek nieurodzaju. Resztę zbioru należy dzielić w równych częściach pomiędzy wszystkich faktycznych uczestników pracy artelowej według liczby jednostek roboczych obojej płci, przyczem nieletni — mężczyzna od 14 do 17 lat, dziewczyna od 13 do 16 — otrzymują połowę, chłopcy od 10 do 14, dziewczęta od 10 do 13 lat trzecią część; dzieci zaś obojej płci w wieku od 8 do 10 lat czwartą część zapłaty robotnika dorosłego. Dzieci do lat ośmiu nie pobierają nic i są utrzymywane kosztem czynnych członków swej rodziny. Gdy dzieci takich jest dużo (4—5), robotników zaś w rodzinie mało (1—2), artel, jeżeli uzna za potrzebne, może cokolwiek dorzucić na ich korzyść ze wspólnego zarobku.

Wogóle ważnem zadaniem każdej takiej grupy jest starać się wszelkimi sposobami, aby ziemia nie jałowiała, nie traciła swej siły rodzajnej, była odpowiednio nawożona itd. Zasiew nie powinien się składać wyłącznie z roślin zbożowych. Trzeba także uprawiać len, gorczycę, mak, groch, kartofle, buraki cukrowe i pastewne, kukurydzę, słonecznik i inne; po za tem: koniczynę, lucernę, wykę, tymotkę itd. W zakres gospodarstwa artelowego powinny wreszcie wejść: chmielarstwo, ogrodnictwo, warzywnictwo i jedwabnictwo. Zalecane jest również obsadzanie domów i ogrodów morwami tudzież drzewami owocowemi. Po wszelkie wskazówki w sprawie zakupu nasion, narzędzi rolniczych i maszyn, artel powinna się udawać do miejscowego zarządu ziemskiego lub do znanych w okolicy rolników doświadczonych. Grupa zjednoczonych gospodarzów

tworzy fundusze dla zadzierżawienia lub nabycia ziemi, założenia cegielni, młyna, wyrobu masła, zakupu młocarni parowej, reproduktorów, bydła rasowego, owiec, nierogacizny, nafty, dziegciu smoły w beczkach, dla sprowadzania soli wprost z Krymu, urządzenia sklepu własnego i t. d. Wszystkie tego rodzaju czynności mają być załatwiane wspólnemi siłami kilku arteli.

To, co u nas jest przedmiotem licznych projektów, a nawet... konkursów (*Gazety radomskiej*), mianowicie opieka nad dziećmi, tam stało się obowiązkiem stowarzyszonych. Podczas robót polnych dziatwa z całej wsi, zgromadzona w jednem miejscu, będzie doglądana przez osobną dozorczynię. Chorzy, niedołężni mają również opiekę i byt zapewniony. Tak np. gdy ktoś ze stowarzyszonych lub członków jego rodziny zapadnie na zdrowiu, albo z innego ważnego powodu nie może pracować przez czas pewien, nie cierpi na tem materyalnie, tj. otrzymuje całkowitą, przypadającą na niego część zbiorów. Gdy choroba trwa przeszło trzy miesiące i staje się tak ciężką, że odbiera na zawsze zdolność do pracy, rodzina zniedołężniałego pomimo to pozostaje w arteli. Chory zaś po porozumieniu z wszystkimi uczestnikami może do udziału w robotach przybrać najemnika, który razem ze swoim gospodarzem będzie tworzył jednostkę w stosunku do podziału plonów. Prócz tego artel, stosownie do uznania, może choremu dodać coś nadto. Gdy zaś o tyle się wzmocni, że będzie mógł spełniać chociaż lżejszą czynność, odpowiednio do produkcyjności swej pracy otrzyma trzecią lub czwartą część całkowitej zapłaty robotnika. W podobny sposób są płatni starcy.

W razie potrzeby wspólnicy mogą wybrać ze swego grona na rok „starszego,“ który określa porządek gospodarstwa i prowadzi wszystkie rachunki. Musi on jednak pracować osobiście, zupełnie na równi z innymi.

Dotychczas takich arteli w pow. aleksandryjskim powstało już przeszło trzydzieści, a dwie z nich działają od września r. p., a więc już rok. Władze miejscowe zaopiekowały się niemi i usiłują wyjednać dla nich wszelkie ułatwienia w Banku włościańskim. Jednocześnie duch łączności w tej formie przenika coraz dalej, ogarnia coraz szersze obszary chersońszczyzny i prawdopodobnie prędko wytworzy nowe grupy włościan, stowarzyszonych na roli. Czy zobowiązania, przyjęte w umowie, będą całkowicie spełnione, czy spółki te pomyślnie i szybko się rozwiną, nie napotkają jakich przeszkód na drodze, o tem trudno dziś sądzić. Samo wszakże założenie tej pracy gromadnej w wielu szczegółach zupełnie jest nowe. Były wprawdzie próby podobnych spółek chłopskich w głębi Rosyi, jak np. artele w gub. permskiej, ale te się rozpadły. Jednym z czynników zrzeszenia włościan chersońskich, oprócz uświadomienia potrzeby pracy zbiorowej, było także zapewne uderzenie ogólnej fali artelowej, jakkolwiek pod inną postacią. Stowarzyszenia dla pracy zbiorowej znane są w Rosyi oddawna, ale zazwyczaj chodzi tam o pracę zarobkową lub prowadzenie przedsiębiorstw handlowych. Specyaliści, jak mularze, cieśle, kopacze, tragarze w portach i na kolejach, są związani solidarną umową. Oddawna w takich gromadach był znany rygor, karność i surowość nadzwyczajna. Niegdyś za przekroczenia, niedbalstwo, nietrzeźwość karano cielesnie, potem zamieniono tę karę na grzywny, czasem bardzo wysokie, np. za opuszczanie pracy dochodzi nawet do 200 rs. Zachowuje się to jednak w tajemnicy, ażeby niesumienność jednego lub paru uczestników nie podkopało zaufania ogólnego do stowarzyszenia. Udział w zyskach jest obliczany według różnych zasad, wszyscy atoli członkowie związku korzystają w tej mierze z praw równych. Dochody z pracy prawie zawsze są rozdawane w równych częściach, te zaś, które przypadają na rzecz kapitału, dzielone są odpowiednio do majątku, wniesionego przez uczestnika. Prawo to daje możność brać zaliczki u „starszego“ na rachunek zarobków przyszłych, przytem każdy członek może korzystać z zapomogi w razie choroby, w postaci wypłaty przez pewien czas kwot, dorównywających zarobkom ludzi zdrowych, ale tylko w tych wypadkach, jeżeli choroba wynikła „z woli bożej,“ a nie z pijaństwa lub życia rozwiązłego. Każdy z członków arteli może być wybrany do zarządu tudzież ma prawo głosu na zebraniach.

W artelach samodzielnych ogólne zebranie jest instancyą wyższą. Stowarzyszenia takie nie łatwo przychodzą do skutku, a im rozleglejszy jest dany dział pracy, tem trudniej zharmonizować wszelkie interesy i żywioły. Najłatwiej się tworzą artele dorywcze, wypadkowo, wogóle w celach pracy najemnej, a więc zależno. Takie są stowarzyszenia „burłackie“ „wolne artele przeładunkowe“ w Rybińsku, których dana grupa najczęściej pochodzi z jednej wsi. Związki nowsze są bardziej złożone przy czem najwięcej formalności towarzyszy powstawaniu takich, które z chwilą narodzin zależne są od różnych urządzeń lub instytucyi społecznych i ekonomicznych, np. stowarzyszenie wyrobu serów, urządzane przy pomocy ziemstw. Warunki wstąpienia do związku nie wszędzie są jednakie. Najczęściej artele składają się z samych mężczyzn, bywają wszakże kobiece i mieszane. Stan familijny zazwyczaj nie gra żadnej roli, chociaż i tu zdarzają się wyjątki, np. w Nieżynie stowarzyszenie pracownic przemysłu tytoniowego wyłącznie złożone są z dziewcząt. Tam, gdzie dana gałąź przedsiębiorstwa lub pole zarobkowania tworzy ognisko na pewnej przestrzeni, grupy zwykle rekrutują się z jednej wsi. Prawie we wszystkich związkach tego rodzaju od każdego kandydata wymagana jest siła, dorównywająca energii innych stowarzyszonych, przy czem miarą jej jest wiek, ściśle określany. Wreszcie czasem rodzaj zajęcia nie dopuszcza ludzi nie obdarzonych odpowiednią wytrwałością i zdrowiem, np. w pracy przeładunkowej, w portach i przystaniach. Ściśle wymagano bywa również uzdolnienie w niektórych związkach (miejskich) umiejętność czytania, pisania, a nawet świadectwa szkolne lub pewien egzamin (np. od przewodników statków).

Skrupulatnie są przestrzegane względy moralne przy czem na pierwszym planie zawsze jest warunek trzeźwości. Wnoszenie pewnych kwot na rzecz kapitału artelowego tylko tam jest żądane, gdzie sam charakter związku wymaga takiej podstawy. W artelach typu dawnego zawiązywanych po wsiach, wkłady członków bywają wnoszono w naturze, lub też częścią w naturze i gotówce. Istnieją i takie związki, gdzie od wstępującego członka wymagane są określone kwoty różnej wielkości, od 25 do 1,600 rs. pod nazwą „wkupu“, „wkupnych pieniędzy“ lub „nowizny“. Sumy te wszakże można rozkładać na raty w ciągu pewnej liczby lat. Ale przy wejściu trzeba koniecznie złożyć „pieniądze wstępne“. Nadto, od małoletnich oprócz wkupu pewne dodatki pod rozmaitemi nazwami są płacone do 18—19 roku życia. Z sum tych powstają między innymi fundusze zabezpieczenia, dla pokrycia strat, wyrządzonych komu kolwiek z pracobierców. W większości arteli wszyscy członkowie wnoszą różne kwoty. Tym sposobem kapitał wzrasta stopniowo, czasem zaś powstaje w niektórych artelach z pewnych kwot, odliczanych od zarobku, bywa także zasilany z innych źródeł np. z opłat przy wejściu w związki małżeńskie przy zaliczaniu nowicyuszów do „starych“ i t. d.

Żaden członek nie ma prawa uchylać się od nałożonych na niego obowiązków przez artel, gdy zaś nie może przyjść na robotę „powinien o tem zawiadomić i otrzymać uwolnienie.“ Przez ten czas nie pobiera przypadającej części od zarobku, ale pomimo to ponosi solidarną odpowiedzialność za czyny związku.

Drogomir.

— W Antwerpii tworzy się bank, którego celem ma być ułatwienie rozwoju przedsiębiorstw przemysłowych belgijskich w Rosyi. Kapitał zakładowy wynosi 3 miliony fr.

— Zatwierdzono ustawę Towarzystwa czeczelnickiej fabryki cukru w gub. podolskiej z kapitałem rs. 600,000 rs. w 600 udziałach, z zarządem w Petersburgu.

— Ministeryum postanowiło otworzyć stacye doświadczalne rolnicze w gub. podolskiej i wołyńskiej. Wogóle na stworzenie tych instytucyi w całem państwie przeznaczono 100,000 rs.

— Według danych urzędowych, urodzaj tegoroczny po omłotach wydał następujące rezultaty: plon wyżej niż średni — w gub. południowo-zachodnich, Królestwie Polskiem i na północnej części Kaukazu; średni: w strefach środkowej i wschodniej; niezadowalający tylko w niektórych miejscowościach kraju południowo zachodniego.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. W Poznaniu zawiązuje się stowarzyszenie opieki nad pracą kobiet. Mają się w niem zogniskować wszystkie rozproszone siły robocze niewieście.

Szkoły. Towarzystwo ogrodnicze w Krakowie urządza kurs wykładów wieczornych, które trwać będą od 5 listopada do 10 marca.

— Ministeryum dóbr państwa i rolnictwa zgodziło się na wyznaczenie funduszu potrzebnego dla budowy gmachu szkoły ogrodniczej w Warszawie i utrzymania jej, z warunkiem, aby przeszła ona wraz z ogrodem pomologicznym pod zarząd owego ministeryum. Władza naukowa nie przystała wszakże na to ze względu że ogród jest zakładem pomocniczym uniwersytetu warszawskiego. Wobec tego otwarcie szkoły odłożono do czasu zniesienia dwóch gimnazyów męzkich, na których miejscu powstaną dwie uczelnie zawodowe

— W ubiegłym roku szkolnym uniwersytet krakowski liczył profesorów wraz z docentami 97, łącznie zaś z asystentami i nauczycielami 141. Liczba słuchaczów we wszystkich wydziałach w pół roczu zimowem wynosiła 1,304, w letniem 1,230. Konstanty hr. Przeździecki ofiarował wszechnicy bibliotekę nabytą po prof. Józefie Łepkowskim, obejmującą 2,688 tomy dzieł z zakresu historyi sztuki. Zatwierdzono stypendyum Jana Gecewicza 6,000 złr. dla ucznia seminaryum historycznego. Rzeczywisty radca stanu Swiderski z Petersburga złożył 5,000 rs. na stypendya. Kazimierz Rasuld zapisał 35,000 złr. wcelu wybudowania obszernej sali na wykłady uniwersyteckie i popularne. Rok bieżący jest 532 od założenia uniwersytetu.

— P. Stefania Sempołowska w Warszawie otworzyła wypożyczalnię zbiorów przyrodniczych, niezbędnych przy wykładach lekcyi.

— Przy Instytucie inżenierów w Petersburgu powstaje katedra budowy wodociągów i kanalizacyi.

— Do seminaryów nauczycielskich postanowiono wprowadzić wykłady hygieny.

— Wobec wielkiego napływu słuchaczek na wyższe kursy żeńskie w Petersburgu postanowiono przyjąć nad komplet 60 kandydatek, które skończyły średnie zakłady naukowe z medalem. Ogółem jest 660 studentek.

Poczta. Departament pocztowy wydał rozporządzenie, aby listy i paklety z przedmiotami, nie opłaconymi, według przepisów, nie były konfiskowane, lecz doręczane adresantom, za ściągnięciem odpowiedniej należności i kary.

— Do głównego zarządu poczt i telegrafów wniesiono projekt uproszczenia kwitów wydawanych osobom, wysyłającym korespondencyę. Obecnie na napisanie potrzeba zużywać zbyt wiele cza-

su, co wstrzymuje wszystkich innych interesantów. Tak np. na każdym kwicie winien być umieszczony: 1) numer porządkowy księgi, 2) data złożenia korespondencyi, 3) liczba jednostek wagi, 4) nazwa instytucyi odbierającej, 5) nazwa rodzaju korespondencyi, 6) dokąd i na czyje imię adresowana wreszcie 7) urząd i nazwisko odbierającego. Tymczasem cel, do jakiego dąży poczta, t. j. uchronienie korespondencyi rekomendowanej od zagubienia, może być osiągnięty przy znacznem skróceniu. Postanowiono więc zastosować typ kwitów telegraficznych t. j. wypisywać na nich tylko miejsce przeznaczenia korespondencyi. W ten sposób urzędnik będzie miał znacznie mniej zajęcia, a jednocześnie publiczność zyska na czasie i pośpiechu.

Koleje i komunikacye. Na kongresie kolejowym w Kolonii postanowiono utrzymać komunikacyę bezpośrednią pomiędzy Paryżem a Petersburgiem i Berlinem a Petersburgiem w dwóch kierunkach: przez Wierzbołów i przez Aleksandrów tudzież Warszawę.

Wystawy i zjazdy. W końcu r. b. odbędzie się w Dąbrowie Górniczej zjazd wytwórców węgla z Królestwa Polskiego. Chodzi głównie o przejrzenie przepisów, dotyczących dozoru nad kopalniami prywatnemi.

— W Bremie powstaje stała wystawa, prób towarów. Rosyę zaproszono do umieszczenia okazów.

— Przy konsulacie generalnym rosyjskim w Nowym Yorku powstanie wystawa towarów i wyrobów, pochodzących z Rosyi. Osoby, pragnące nadsyłać okazy za pośrednictwem departamentu handlu i przemysłu, powinny ponosić koszty przesyłki.

— W Berlinie otwarto wystawę chmielu i jęczmienia. Między innemi wzięło udział W. Ks. Poznańskie.

Zmarli. Żegota Pauli, w Krakowie, sędziwy historyograf uniwersytetu krakowskiego. Do ważniejszych prac jego należy: „Kodeks uniwersytetu krakowskiego,“ „Pieśni ludu w Galicyi“, „Pamiętniki do życia i spraw Samuela i Krysztofa Zborowskich,“ „Pamiętniki o wyprawie chocimskiej.“ Wiele trudu poświęcił na wydawnictwo łacińskiego tekstu „Dziejów Długosza“ tudzież herbarza Paprockiego, monografii zabytków i ludzi zasłużonych. Zaczął wydawać „Starożytności galicyjskie,“ lecz z braku poparcia poprzestał na jednym zeszycie.

— Adolf Streckfuss, pisarz niemiecki, w Berlinie. Zjednał sobie rozgłos dziełami o powstaniu r. 1848 i 1849 w Niemczech.

— Ruggiero Bonghi, w Torre del Graeco, słynny polityk i publicysta, były minister.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Józefowi K. w Krakowie. Przesłanych nam przez redakcyę *Ateneum* sonetów nie wydrukujemy. Zawierają one kilka szczegółów obrazowania ładnych, ale jako całostki nie posiadają ani siły artystycznej, ani świeżości barw.

Słuchaczowi filozofii. Wartość tego obrazka, a zapewne i całej tej literatury, wielce Pan przecenił.

Panu B. J. H. Nadesłany artykuł zużytkujemy.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 13 Октября 1895 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, ul. Mazowiecka, Nr. 8.